Nr. 8 (1208). Warszawa, 7 (20) Lutego 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Neutralność Chin.

Szumnie oznajmione pośrednictwo Stanów Zjedn. Ameryki Północnej dla skłonienia obu stron wojujących i jednocześnie wszystkich niewojujących do uznania terytoryum Chińskiego za neutralne,—wygląda bardzo skromnie po ogłoszeniu treści, a nawet w części i samego brzmienia, okólnika p. Haya do posłów przy obcych mocarstwach. Okólnik, z datą niewiadomą, w ustępie nakazującym działanie mówi o wybadaniu rządu, przy którym poseł jest uwierzytelniony: zali, zdaniem jego, nie odpowiadałoby potrzebom chwili wzajemne poręczenie sobie neutralności Chin i *administracyjnej* ich udzielności? Pobudką do takiego badania ma być przewidywanie zaburzeń w Chinach i ograniczenie strat handlowych całego świata, wskutek toczącej się obecnie wojny. P.P. Roosevelt i Hay nie przewidują nic takiego, coby zzewnątrz natrzeć mogło na Chiny; nie rozszerzają też pojęcia strat poza obręb handlu i w powyższym ustępie okólnika, przeznaczonym dla dyplomacyi, najlżejszem nawet słowem nie symbolizują tego niewątpliwie w nich samych tkwiącego przeświadczenia o głęboko politycznem znaczeniu obecnej wojny, które było przekonaniem całego świata jeszcze przed jej wybuchem.

Bardziej jeszcze od motywów uderza dyspozycyjna część okólnika swojem wyrażeniem *administracyjna udzielność*, zastosowanem do Chin. Czy nawet tutaj, chcąc się wszystkim przypodobać, prezydent Unii i jego pierwszy minister rozmyślnie zastąpili politykę administracyą, a niepodległość udzielnością albo odrębnością; czy też szczerze myśleli o Chinach tylko jako o masie, która musi mieć zapewnioną sobie możność rządzenia się u siebie własnemi swemi siłami bez wstrząśnień zzewnątrz, a nie jako o mocarstwie, które powinnoby mieć zabezpieczoną swą niepodległość, o ile siły jego własne nie wystarczą, przez kombinacyę dyplomatyczną, zapewniającą mu równowagę sił zewnętrznych? Zdaje się, że było tu i jedno i drugie. Obaj mężowie na obecną chwilę conajmniej uważają troskę o niepodległość i nietykalność Chin za przedwczesną, a unikanie wyrażeń, któreby stan jej utajony zdradzały, za nakazane. Postawienie kwestyi neutralności i zarazem nietykalności Chin ze stanowiska politycznego, jak oznajmiano, mogło było doprowadzić do ugrupowania się mocarstw, którego jeśli nie najważniejszym, to najbliższym w czasie momentem mogłoby być porozumienie się Anglii z Francyą; przeciwnie, punkt widzenia administracyjny może tylko zachęcić do uważania międzynarodowej nicości Chin za dogmat i wywołać dążność pod znanem hasłem cesarza Wilhelma „Völker Europa's hütet eure Güter“ —czy „idealen Güter“—co wychodzi na jedno; ideał bowiem jest tu bańką mydlaną.

Gdyby nawet pp. Roosenvelt i Hay chcieli byli spojrzeć na świat przez lunetę polityczną, to i tak jeszcze ich neutralność sama przez się niewiele by dla logicznych umysłów znaczyła. Na neutralność państwa Chińskiego pracuje i za nią ręczy sama jego niemoc; ale inaczej rzecz się ma z neutralnością jego terytoryum. Samo jej wywołanie, jako stanu pożądanego w okolicznościach danych nasuwa przedewszystkiem stronom wojującym pytanie: jakie terytoryum, całe, jak jeszcze jest prawnie, czy też uszczuplone, jakiem jest faktycznie? Gdy Japonia domaga się włączenia Mandżuryi w całość Chin, jako mocarstwa, mającego prawa wobec innych, Rosya, wręcz przeciwnie, ze swego stanowiska, tylko wyłączenia jej żądać może: cała przecież obecna wojna wszczęła się, nie o Koreę, ale o Mandżuryę. Żądać zaś neutralności tej prowincyi, t. j. zapewnienia nietykalności jej terytoryum wtedy, gdy na tem terytoryum toczyć się ma właśnie wojna o nią,—niepodobna bez widocznego pogwałcenia zdrowego rozsądku. Przez samo zatem wywołanie kwestyi Stany Zjednoczone do pewnego stopnia ją przesądzają: albo neutralność Chin bez Mandżuryi, albo oddziałanie na obie strony walczące, aby Mandżuryi nie tykały, a przedtem jeszcze wezwanie Rosyi do ustąpienia z niej. Ponieważ ta druga alternatywa leży poza obrębem energii pp. Roosevelta i Haya i całych Stanów Zjednoczonych, pozostaje więc jedynie pierwsza: zneutralizowanie Chin bez Mandżuryi, uznanie nietylko stanu przewidywanego na czas wojny, ale i stanu posiadania przed wojną. To wynika z propozycyi.

Niczem do tego niepodobną, wręcz przeciwną, byłaby doniosłość kroków podjętych nie o neutralność, ale o nietykalność Chin, jako mocarstwa. Przedewszystkiem zagrodziłoby takie wystąpienie drogą wszelkim zachciankom nowego rozebrania Chin, nowej asekuracyi od niebezpieczeństw, jakiemi zieje na Ludzkość rasa żółta. A potem zapewniłoby Chinom możność dochowania samej neutralności, przez należyte osadzenie granic, od czego teraz odstraszać ją może przewidywanie odwetu za zbrojenie się i ustawianie wojska na pograniczach. Dopiero też zatknięcie takiego sztandaru pozwoliłoby mocarstwom rzeczywiście się zgrupować i w pewnych gru-

pach związać w widokach utrzymania równowagi na Dalekim Wschodzie. Działanie obecne, jeśli nie da podniety rasie białej, przeciwko żółtej, przesądzi tylko może kwestyę Mandżuryi, a w każdym razie będzie miało skuteczność wody różanej przykładanej na ranę, której grozi gangrena. — Nic też dziwnego, że wszystkie już mocarstwa, jak opiewają telegramy, dały odpowiedzi, bez długich namysłów, i że większość tych odpowiedzi ma być przychylną: nie odpowiedziała podobno jedna tylko Rosya, a gdyby nie odpowiedziała wcale, niewątpliwie pp. Roosevelt i Hay spuściliby sprawę z wokandy i, chcąc coś zrobić, musieliby chwycić się innych zupełnie pomysłów. Jeśli odpowiedzi mocarstw wyjdą na jaw, można z nich będzie wysnuć wnioski nie o ich widokach, ale o zasobie i kierunku energii każdego z nich w chwili obecnej. Słowo służy do ukrywania myśli jako zamiaru, ale słowo zdradza mimowoli myśl jako pragnienie. Francya i Anglia ułożyły się już jakoby o niedziałanie. Austrya bardzo skromnie odpowiedziała, że pójdzie za innymi, ale nie chce być pierwszą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od przeszłego tygodnia przybyło więcej bajek, niż wypadków, ale są i wypadki, a najważniejszym — wylądowanie Japończyków na Korei. Zaczęło się ono prawdopodobnie nazajutrz po zerwaniu stosunków dyplomatycznych (6 b. m.); było zaś od dłuższego czasu przygotowywane w tych wielce sprzyjających warunkach, jakie zapewnia rozwój pobrzeży wyspy Kiu-szyu i całego zachodnio-południowego kolana wielkiej wyspy Nipońskiej. Już w d. 7 b. m. mniejsze siły japońskie znajdowały się w Czemulpo, a we dwa dni później statki zaczęły dowozić na pomorze, zwłaszcza zachodnie, armię już właściwą, której siłę określa depesza agencyi rosyjskiej z d. 15 b. m. ogólnikowo na kilkadziesiąt tysięcy; z tych w samem Czemulpo, według wcześniejszego doniesienia miało wysiąść 10,000. Bardzo ważnem jest pytanie: o ile masa wylądowanych sił ciąży ku północy, ku tej Jalu, nad którą miesiąc temu już znajdowały się stanowiska rosyjskie, nawet już za rzeką? Od liczebności wojsk wrzuconych na Koreę przez Czy-nampo, Sön-czen, Czot-san i w górę ku Widżu na zachodzie, a Wön-san (Gensan) i północniejsze miejscowości nad zatoką Broughtona, będzie zależała nietylko ich sprawność, ale i możność zużytkowania sił wysadzonych na południe od Czemulpo, w Mosamp-ho, Fusanie i in. Wszystkie te siły muszą być już od dziesięciu dni w pochodzie na północ. Dla pełności strategicznej podstawy swych działań Japończycy pomyśleli zapewne o opanowaniu ujścia Jalu po obu stronach, jeśli zaś tego nie uczynili — czego zresztą nie zbija żadne doniesienie — musieli przekonać się o przeszkodzie, jaką być może nagromadzenie pod Widżu i w górę rzeki przemagających sił rosyjskich.

Podczas wylądowywania, d. 9 b. m. pod Czemulpo zaskoczyła flota japońska krążownik „Warjag“ i kanonierkę „Korejec.“ Kanonierka porwała się do ognia, podobno i krążownik poszedł za nią i obie załogi przy dźwiękach hymnu narodowego wszczęły bój. Kanonierka dostała się na dno, a „Warjaga“ jakoby własny kapitan jego podsadził i zatopił. Berlińska *National Ztng* napisała bohaterowi, nekrolog; okazało się jednak, że kapitan, nazwiskiem Stepanow, żyje i nawet ran ciężkich nie ma. Część załóg zginęła.

Mylnem okazało się doniesienie, jakoby oddział floty z Władywostoku, po wyrąbaniu lodów zewnętrznych (ok. 7 b. m.) wypłynąwszy na m. Japońskie, miał zbombardować Hakodate na południowem wybrzeżu wyspy Jesso w zatoce Tsungaru-seto. O stanowisku obecnem, o ruchach tego oddziału nic nie wiadomo.

Japończycy nazajutrz po napadzie, w nocy z d. 10 na 11, usiłowali wylądować na północ od portu Artura pod Talienwancm; buletyny pierwszej chwili doniosły o zarąbaniu dwóch pułków, później podały stratę japońską na 290 i 400 ludzi. Przed portem zewnętrznym wskutek wybuchu torpeda podczas zakładania min podwodnych zatonął wielki okręt transportowy rosyjski „Jenisej“ (d. 11 b. m.).

W zatoce Peczyli na północy ku Niu-czuangowi flota japońska, jeśli była, niczego nie przedsięwzięła przeciwko stanowiskom pobrzeżnym. W tejże zatoce ważnym faktem, międzynarodowego nawet znaczenia, jest tymczasowe zatknięcie flagi francuskiej na rosyjskim forcie w Szan-hai-kuanie, krańcowej stacyi właściwej kolei Tien-tsińskiej.

Japończycy zabierają statki handlowe rosyjskie; w mniejszym zakresie czynią to i Rosyanie. Statek japoński, zaskoczony na pełnem morzu, wyleciał w powietrze.

Komunikacye telegraficzne na północ półwyspu Liao-tong („kwantuński“) są poprzerywane, Chińczycy próbowali nawet wysadzić jeden z mostów kolei mandżurskiej.

Chiny zaczynają gromadzić wojska na północy prowincyi Czy-li, po za Murem Chińskim, ku Tsin-Czau; ale nieprędko cośkolwiek zrobią. Japonia, w duchu przepisów międzynarodowych domaga się od nich skutecznej obrony neutralności, więc silnego obsadzenia granic. Bezsilne, niedołężne, są one między młotem i kowadłem, i gdyby nawet Europa poręczyła im nietylko neutralność, ale samą nietykalność, nie mogłyby z dobrodziejstwa skorzystać.

Gdy Azya zdobyła się już na wojnę, Europa tymczasem robi politykę, dopóki i ona za przykładem Azyi nie pójdzie. Narodki bałkańskie burzą się, sprzysięgają na wojnę i zbroją; te, którem rządzą sprzysiężenia, czynią to w sposób tajny, ale niewątpliwy, te, które mają już rządy—pod pozorem bezpieczeństwa, porządku i potrzeby myślenia o przyszłości, gdy przyszłość niepewna. Napróżno peroruje p. Gołuchowski w delegacyach, że Rosya jest dość potężną, aby pomimo zajęcia na Wschodzie Azyi, poradzić sobie jeszcze i na Wschodzie Europy; napróżno też i hr. Lamsdorff przypomina kanon pokoju. Narodki bałkańskie nie na wrzekomą niemoc Rosyi liczą, ale właśnie na siłę, na jej uczucie współczynne, tające się tylko, lecz pewne. Wojna z Japonią obudziła w Bułgaryi nadzwyczajny zapał: rwą się Bułgarzy pod chorągwie rosyjskie do Azyi. Serbom, Bułgarom i Macedończykom znowu zaczynają wtórować Albańczycy, o których od końca lata było cicho. Występują też za

---

4)

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

Wogóle na wszystko, co spotyka mię w życiu, patrzę zazwyczaj z powieściopisarskiego lub malarskiego punktu widzenia — z zewnątrz, objektywnie; wrażenia uświadamiam sobie już w formie okrągłych, pełnych zdań, często wyszukanych i nienaturalnych, we wszystkiem, co mówię, myślę, robię, dopatruję się efektów scenicznych, literackich, malarskich. Właściwość tę uważam za jedną z tragedyj mego życia, gdyż zupełnie prawie odbiera mi bezpośredniość wrażeń.

Zarzucają mi niekiedy, że jestem zmanierowana, pozująca, że sztuczne jest we mnie wszystko, od ukłonu do uczesania. Uznaję to w zupełności. Ale we mnie naturalną jest właśnie ta sztuczność. Ja każdy ruch mój i uśmiech widzę jeszcze, zanim się uśmiechnę lub poruszę — i patrzę na nie badawczo, krytycznie, jak ktoś obcy. Niema we mnie czasu teraźniejszego, patrzę na wszystko „z przyszłości.“ Nie znam odruchów myśli, nieartykułowanych słów ani giestów. Gdybym starała się nadać memu zachowaniu pozory bezpośredniości, byłabym podwójnie sztuczna.

Po południu zajeżdża przed taras ochlapany błotem powozik, zaprzężony w dwa śliczne, bułane konie. Imszanski rzuca lejce siedzącemu z tyłu *groomowi* i witany przez Janusza, wchodzi zwolna po stopniach. Na jego spokojnej twarzy nie znać po przejechaniu ośmiu mil najmniejszego zmęczenia.

Przy bliższem poznaniu wydaje mi się sympatyczniejszy. Przedewszystkiem jest to bezsprzecznie najładniejszy z ludzi, jakich znam. Z nacechowanych jakiemś miękkiem znużeniem ruchów jego smukłej postaci bije rasa, w jasnych oczach widać bezustanne skupienie myśli i spokojny, zapomniany prawie smutek. Posiada wszystkie zalety towarzyskie, mówi zajmująco, ładnie, zdaniami i stylem książkowym, rozporządza całą gamą uśmiechów, ale nigdy nie śmieje się głośno. Cechuje go dyskretne jakieś przytłumienie.

— Siostra moja — zwraca się do nas zaraz po przywitaniu — przesyła paniom uprzejme pozdrowienia. Pragnęła sama towarzyszyć mi tutaj, ale lękałem się dla niej tak długiej podróży końmi, zwłaszcza przy obecnych złych drogach.

Z jednakową uprzejmością flirtuje ze mną i z Martą, tylko w stosunku do niej więcej ma powagi, dla mnie zaś — więcej galanteryi, jako dla gościa w tych stronach. W nikim nie spotkałam dotąd takiej umiejętności podkreślania najsubtelniejszych odcieni.

Jestem prawie oczarowana, nie spuszczam zeń oczu —i konstatuję jednocześnie, że ten cudny człowiek nie zdołałby nigdy wzbudzić we mnie miłości. Fizycznie jest mi bardziej jeszcze obojętny, niż Rosławski. Przyczyną tego jest, jak sądzę, właśnie jego niesłychana uroda, która odciąga odeń uwagę, jako mężczyzny i człowieka. Z równą rozkoszą patrzyłabym na jego portret, gdyby jeszcze umiał oddać grę jego twarzy i harmonię ruchów.

Chodzimy po parku i oglądamy świeżo sprowadzone przez Martę gatunki ozdobnych krzewów. Ja idę z Januszem, o kilkanaście kroków przed nami — Imszański z Martą.

Z przyjemnością patrzę na sylwetki obojga; cudnie tak wyglądają na tle starego, wielkiego parku — jak jakaś reminiscencya z dawnych, dobrych czasów dam serca i rycerzy. Spostrzegam, że Marta ma też więcej rasy, niż ja. Przy omijaniu kałuży Imszański podaje jej rękę, a ona zbiera suknię i odsłania swe smukłe, wązkie nogi. Robią zupełnie wrażenie pary, tańczącej menueta. Są tak ładni, że nie umiem im zazdrościć.

Janusz idzie koło mnie, jak żywioł. Płonącemi oczami śledzi moje spojrzenie.

— Podoba się pani Imszanski, prawda? — zapytuje. Ładny jest. Ale nie radzę pani próbować na nim swych sił — zajęty już. Kocha się od dawna — i bez nadziei...

— Czy tak?

— W Warszawie nawet chciał sobie odebrać życie, ale oczywiście nieszkodliwie.

— I skądże ta beznadziejna miłość, czyżby bez wzajemności? Jemu się oprzeć musi być chyba dość trudno.

— Panna dała mu odkosza, gdy się oświadczył. Ale ja nie dziwię się temu ani

nimi Włosi, mający wśród nich swoich *uomini d'affari*. Krótko: mina podłożona — tylko ją zapalić.

Austrya również zaczyna się ruszać. Ludzie przed innymi robiący na świecie politykę, dziennikarze, przemyśliwają nad tem, jakby zużytkować energię Austryi na półwyspie Bałkańskim. Zdaje się im, że najlepiej będzie — interweniować, a potem — zmykać, czemprędzej zmykać pomiędzy Niemców austryackich, rwących się do Prus, Słowian — mających własne interesa i marzenia, i Węgrów odmawiających rekruta i pieniędzy i posłuszeństwa dla wspólnej monarchii. Szlezwig i Holsztyn nie są jeszcze dla gadułów przykładem odstraszającym a wiedzą jak najdokładniej, że korpus austryacki na Bałkanach wchodzi wybornie w dyplomatyczne ramy. Czego oni nie wiedzą! P. Gołuchowski, który d. 4 b. m. Falkowi w delegacyi węgierskiej odpowiedział, że porozumienie się z Rosyą nie sięga po za słynne reformy, teraz już oznajmia, że właśnie sięga: widocznie musiało od tego czasu coś przybyć: ale czy interwencya austryacka, jednostronna? Na to trzebaby mieć dokument. W każdym razie na Austryę przychodzi chwila ciężka, a cięższa jeszcze na Turcyę, której grozi rozszarpanie. Dopóki jeszcze Macedonia jest turecką, dopóty opłaca się bronienie Albanii, uważanie za swoją Bośnii i Hercegowiny, odgrywanie roli zwierzchniego władcy nad Bułgaryą; ale z chwilą zabrania Macedonii, aż pod Adryanopol i Tessalonikę i granicę grecką — wszystkie tamte skarby północne staną się próchnem bez wartości. Europa potrzebowałaby się tylko zgodzić na księcia Macedońskiego, aby z niezmiernie małym rozlewem krwi rozwiązać kwestyę turecką. Tylko nie rozwiązałaby jeszcze kwestyi austryackiej na Bałkanach. Po wyparciu Turcyi przyszłaby kolej na wyparcie Austryi.

Z Dalekiego Wschodu.

Taku. — Tien-tsin. — Pekin. — Szan-haj.

(Ciąg dalszy).

Stanęliśmy w Tientsinie o zmroku. Nauczony doświadczeniem, nie brałem kulisów, lecz oddałem się pod opiekę agenta hotelowego, Chińczyka z ogromną latarnią, na której czarnemi literami umieszczony był napis hotelu. Posadzono mnie do otwartej półkaretki, zaprzężonej w dwa tęgie muły i ruszyliśmy, roztrącając ludzi, wiozących i niosących ciężary, lektyki, węzełki, latarki... Ten rój światełek, kołyszących się nizko przy ziemi wśród mroku, kurzawy i ludzkich cieniów, nadaje pewien specyalny koloryt ulicom Dalekiego Wschodu... Światełka płyną, zataczając fantastyczne zygzaki. Nie wiadomo, kto je niesie i dokąd. Od czasu do czasu tylko mignie w ich blasku ręka, noga, twarz przechodnia, wyłoni się z ciemności tułów lub koła przelatującej „rykszy.“

Po drewnianym moście, bez poręczy, szerokim zaledwie 2 i pół sążnia, tak natłoczonym ludźmi, że aż się uginał, przebyliśmy mętną Paj-ho i dostaliśmy się do czystej, bogatej dzielnicy europejskiej.

Nazajutrz zwiedzałem miasto. Chińska połowa — brudna, gwarna, ludna — różni się od innych miast chińskich tylko napisami angielskimi na wielu szyldach oraz obecnością cudzoziemców na ulicach. Najwięcej spotykałem Japończyków i sklepy japońskie widziałem też w chińskiej dzielnicy. Europejski „settlement“ przedstawia piękne, niezupełnie jeszcze zabudowane miasto z szerokiemi ulicami, wysadzonemi drzewami, z piętrowymi, murowanymi domami, wyglądającymi nieraz, jak pałacyki. Przeważa zresztą architektura handlowo-koszarowa, panują składy, sklepy, biura, banki. Nie dostrzegłem śladów oblężenia. Ratusz odnowiony; gruzy z śródmieścia uprzątnięte, pozostały jedynie na brzegu Paj-ho. Znikła też stamtąd wspaniała katedra katolicka, zburzona przez bokserów. Na ulicach pilnują porządku wspaniali „sikhowie“ w kolorowych zawojach oraz najemna, chińska policya w mundurach. Każda narodowość ma tu swą pocztę, ale istnieje i poczta chińska, utrzymywana i prowadzona przez urząd celny pod nadzorem Anglików. Działa bardzo poprawnie, lecz listów w głąb Chin nie wysyła. Tam zostały dawne poczty prywatne, utrzymywane przez domy gandlowe lub spółki kupców chińskich. Codzień z Tientsinu odchodzi kilka pociągów do Pekinu ale najdogodniejszy zdaje się jest pośpieszny, który idzie wprost z In-kou i Szań-hajguania do granicy mandżurskiej. Do Tientsinu przybywa on o trzeciej po południu. Ma wagon jadalny i komunikacyę bezpośrednią z Dalnim, gdyż obecnie zbudowano już na rzece Liao-he czasowy most drewniany: można więc dostać się z Warszawy do Pekinu z trzykrotnem zaledwie przesiadaniem, mianowicie: w Moskwie, nad Bajkałem i w Dalnim.

Na stacyi zwykły ruch chiński, gwałt, nieporządek, choć przy odejściu asystuje znowu pociągowi policya całego świata. Miałem przyjemność oglądać prócz „sikhów“ i najemników chińskich, małych, eleganckich, japońskich policyantów, oraz niemieckich, francuskich i austryackich żołnierzy.

Przejazd z Tien-tsinu do Pekinu trwa 4 i pół godziny. Było zupełnie ciemno, gdyśmy stanęli na miejscu. Odszukałem agenta poleconego mi hotelu i poszedłem razem z nim odbierać rzeczy. W wagonie bagażowym mrowie Chińczyków, każdy coś ciągnie. Nie wiem doprawdy, jak się to stało, że swoje rzeczy odebrałem w całości. Kosztowało mię to zaledwie dziesiątkę, przyjętą skwapliwie przez bagażowego. Znowu kilku Chińczyków złapało po jednym pakunku, ale hotelowy zredukował ich natychmiast do dwóch i ruszyliśmy wzdłuż wielkiej, czarnej ściany w ciemnościach ledwie rozświeconych tu i owdzie migającymi ognikami latarni. Przez wielkie wrota sklepione dostaliśmy się do miasta. Od samej

---

trochę — taki człowiek nie powinien się żenić: jemu nie wystarczyłby cały harem...

— Hm — to potrzebne mu nawet do stylu. A kto to ta panna? czy która z okolicy?

— Tak.

— Kto taki, niech mi pan powie. Czy była na imieninach u Sedniewskich?

— Niech aj mnie pani nie pyta, bo nic powiedzieć nie mogę. Wszystko utrzymano w tajemnicy.

— Czyżby pan był wybrany na powiernika?

— Nie.

— Więc jeżeli pan wie, to ja też mogę wiedzieć. A okropnie jestem ciekawą. Podziwiam tę pannę... Czy ja ją znam?

Droży się czas jakiś, ale w końcu rozbrajam go najmniej niemiłą i najrzadziej przybieraną manierą łaszącej się kotki. Przyrzekam, że tajemnica utonie we mnie, jak w grobie. Po chwili wahania mówi wreszcie cicho:

— Marta.

Staram się zdawkowem zadziwieniem pokryć moje zdumienie bezgraniczne, aby go nie zaniepokoić. Oczywiście jednak postanawiam przyrzeczenia, danego Januszowi, nie dotrzymać — i zapytać o wszystko Martę. Czyż to możliwe, by ona nie kochała tego cudnego człowieka? Czyżby piękność jego i dla niej czyniła go bezwartościowym?

Przy kolacyi patrzę na nią badawczo — i w twarzy jej widzę tę samą bladość i wyraz udręczenia, co w Topolowie. Miłość jego widocznie nie jest bez wzajemności.

Nie kocham tej dziewczyny, więc jej nie współczuję. Ale interesuje mię teraz bardziej geneza jej azoicznych teoryj. Dotąd myślałam, że służą jej one do usprawiedliwienia życia, teraz widzę, że życie swe do nich nagina.

A on jest wciąż jednakowy, uprzejmy i wyblakle wesoły. Rozmawiając z dziadkiem o zbiorach tegorocznych, ma taką minę, jakby i to go interesowało.

* * *

Marta jest typem niesłychanie niejednolitym. Naturę wogóle ma subtelną i wrażliwą, a często jest zupełnie niepodobna do siebie.

Zwykle smutna i apatyczna, miewa niekiedy paroksyzmy dobrego humoru. Ma wówczas wspaniałe pomysły, które rozweselają cały dom. Gdy zostajemy same, gada takie głupstwa, że mnie nawet włosy dębem stają na głowie. Opowiada najpotworniejsze, nie wiem nawet skąd zasłyszane, anegdotki, wyśpiewuje wesołe piosenki chłopskie, z zupełnym cynizmem wygłasza niebywałe dowcipy. Wprost pokładamy się ze śmiechu.

Dziś w takim zenicie wesołości, powiedziała do mnie, nie przestając się śmiać:

— Wiesz, Janka, musi mi być już wyjątkowo źle, żebym mogła być aż tak wesoła.

Swoją drogą zdaje mi się, taki nastrój jest nam od czasu do czasu fizycznie wprost potrzebny dla zachowania równowagi. Inaczej groziłaby nam metamorfoza w jakieś uskrzydlone anioły.

* * *

Chłodny wietrzny dzień jesienny. Chmury wloką się tuż nad ziemią, deszcz drży w powietrzu, ptaków niema. Pod las wyciągają się zabronowane pola i spłowiałe, szare rżyska. Nie mogę opędzić się wrażeniu, że coś na zawsze się kończy.

Jedziemy konno we trójkę po pustych równinach. Janusz wyprzedza nas. Popisuje się jakiemiś sztukami akrobatycznemi na koniu i dokazuje rzeczywiście cudów zręczności.

Ale ja jestem już w fazie reakcyi. Jego obcisłe spodnie i palone buty budzą we mnie wstręt. Pogardę mam dla siebie za to, że to wszystko mogło na mnie robić wrażenie — chociaż niema tu właściwie nic godnego pogardy.

...Jest jesień poprostu.

Na błotnistej szosie zrównywamy się. Smutek jakiś dziwny spadł nam na serca. Milczymy.

Janusz zmienił się bardzo w ostatnich czasach, pobladł, w twarzy ma jakiś niepokój i roztargnienie. Gdy sami jesteśmy, prawie nie podnosi na mnie oczu. A wybuchy energii mają teraz u niego akcent szaleństwa. Po ewolucyach, jakie wyprawiał na koniu przed chwilą, jedzie zmęczony, chmurny z zaciśniętemi ustami.

Tylko ja jedna wiem wszystko: Marta myśli o Imszańskim, Janusz — o mnie, ja — o Rosławskim. Jak w powieści. I jesteśmy w myślach dalecy od siebie, jak gwiazdy.

(C. d. n.).

stacyi trop w trop szedł za nami jakiś jegomość.

— Po co pan do nich idzie? *Oni* biorą siedm dolarów, a my tylko trzy — mówił łamaną ruszczyzną.

Znowu Niemiec!

Nic mu nie odrzekłem.

— Doprawdy, wyrzucone pieniądze! U nas wcale nie gorzej!..

— Nie wierzę w niemieckie hotele.. Jużem się sparzył!..

— Ależ i tamten niemiecki...

— Taak?!..

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tą okolicznością, gdyż mój przewodnik rzeczy na „rykszę“ był ułożył, a do drugiej gwałtem mnie ciągnął.

Hotel istotnie okazał się niemieckim, poświadczyły to swędzące obrzydliwie lampy, niedbała, nieuprzejma usługa, zła kąpiel, kurz, brud i wiele innych drobnostek bardzo przykrych dla zmęczonego podróżnika.

W Pekinie Niemcy stanowczo „stanęli mocno“; niemieccy żołnierze, niemieckie koszary, niemieckie napisy i sklepy rzucają się w oczy. Rosyjskich żołnierzy, choć ich o wiele więcej, jakoś nie widać.

Pewien Anglik, który mieszka na Wschodzie już lat piętnaście, spostrzegłszy u mnie niemiecką mapę z „rejonami wpływów,“ uśmiechnął się ironicznie:

— O tak, rozbiór Chin to kwestya czasu! Niemcy wezmą Pekin i Chiny Północne, Rosya — Mongolię i Mandżuryę. Japonia — brzeg naprzeciw Formozy... Ale co to? Tutaj koło Kantonu widzę, że napisali Francuzów, tymczasem tam przecie od niepamiętnych czasów siedzą Anglicy... Aha, rozumiem!.. Nie śmieli napisać *siebie*, ale powolutku mają nadzieję zabrać i to jako terytoryum *sporne!*.. Sprytnie!..

Właściwie przy takim *podziale* dostałyby się Niemcom dwie trzecie Chin, gdyż dla nikogo nie jest tajemnicą, że Mandżurya i Mongolia, zajęte i strzeżone przez żołnierzy rosyjskich, stają się zwolna wielkimi rynkami niemieckimi. W Mandżuryi, Niuczwangu, Arturze z przyjściem Rosyan znikły istniejące tam przedtem amerykańskie i angielskie domy handlowe, powstały natomiast niemieckie. W Hankau ich liczba szybko wzrasta, skupują fabryki i zakładają sklepy. Ich koncesya uważana jest za najlepszą. Z swoim „billig aber schlecht“ wypierają i biją oni Anglików, nawet w ich własnych koloniach, gdyż „tandeta“ bardziej odpowiada wymaganiom wschodniego rynku. Sprawiedliwość zresztą przyznać nakazuje, że niemieckie „schlecht“ o wiele jest lepsze od słowiańskiej „doskonałości“ i że dopiero porównanie niemczyzny z angielskimi wyrobami, uczuciami, pojęciami i obyczajami wykazuje całą bezwzględną ich niższość. Niewątpliwie przypuszczalny rozbiór Chin jest pożądany i korzystny wyłącznie dla Niemców. Oni też tu zapewne odegrają taką samą rolę, jak przy rozbiorze Polski. Rosya z zajęciem Mandżuryi faktycznie już owładła Mongolię. Anglia zadowolona jest z tego, co posiadła i terytoryalnych zaborów nie pożąda. Francuzi jeszcze nie stracili Tonkinu. Dla Japonii rozbiór Chin byłby poprostu klęską. Ona w głębi serca wielbi jeszcze Chińczyków i marzy o sojuszu z Chinami, z Koreą, o olbrzymiej federacyi wschodniej, która zbudowana na modłę europejską, oświecona, bogata, szczęśliwa i wolna, stałaby się nieprzebytą tamą dla nienasyconych barbarzyńców z Zachodu. Mówiono mi, że istnieje nawet wśród młodzieży japońskiej tajne stowarzyszenie, zorganizowane w celu rozpowszechniania tej idei, że członkowie jego pozostają w w ciągłych i zażyłych stosunkach z takiemiż stowarzyszeniami Młodych Chin. Chińczycy i Chinki dążą na uniwersytet do Tokio, gdzie ich chętnie i przyjaźnie przyjmują. W gazetach dość często można czytać wzmianki o chińsko-japońskich zebraniach studenckich, pełnych patryotyzmu i wynurzeń braterskich.

Krąży nawet legenda, że rewolucyjna młodzież japońska wysłała w swoim czasie bokserom chińskim pomoc w ludziach i orężu, lecz że okręt w drodze zatonął. Obecnie już wielu Japończyków ze sfer rządowych — a w głębi ducha może już wszyscy — przyznają, że wielką omyłką z ich strony był udział w wojnie europejsko-chińskiej.

Aby dokonać bezkarnie rozbioru Chin, trzeba przedewszystkiem co rychlej zmiażdżyć Japonię. Stąd to płynie z jednej strony nieustanne szczucie jej na Rosyę, a z drugiej... płomienne mowy i malowanie znanych symbolicznych obrazów, gdzie „żółtego smoka“ mężnie zabija europejski „anioł“...

Dziedziczna polityka krzyżacka!

Spróbujmy jednak choć cośkolwiek odgadnąć z tego, co się dzieje w duszach Chińczyków.

W drodze z Pekinu do Szan-haju spotkałem na obrzydliwym parowcu chińskim „Tai-shun“ trzech austryackich marynarzy. Jeden był Morawianin i mówił po polsku, Chorwata, rozumiał po polsku, trzeci był Niemiec z pod Wiednia. Wszyscy młodzi i dorodni. Morawianin miał zaledwie lat dwadzieścia.

— Dwustu nas jest Austryaków w Pekinie. Nasz kapitan, Polak ze Lwowa, Radzikowski, dobry pan, Ritter Nikolaus Radzikowski, drugi kapitan też Polak z Krakowa, Bogumił Nowotny, i inżynier, co buduje ministrowi domki, Polak Kownacki... i żołnierzy dużo Polaków... Dobrzy kamraci, weseli...

— A co wy tam robicie w Pekinie?

— A nic nie robimy. Jemy, pijemy, kurzymy, po dwadzieścia dolarów miesięcznie bierzemy, a starsi po sześćdziesiąt i nic nie robimy... Za wszystko płacą czinesi... Li-chung-czang płaci... A my im za to jeszcze po karku, po karku dajemy... O jak!..

I opowiedział mi dla przykładu, jak dni temu ze „czterdzieści“ Chińczycy zrobili podkop pod poselstwo angielskie, jak na przekopie załamał się murek, po którym chodził szyldwach i wszystko się wydało, gdyż ukryci w podziemiu ludzie, zaczęli krzyczeć...

— Dwudziestu złapano!.. Milczeli, choć im mówić kazano, broń przyłożywszy do głowy... milczeli... Dynamit znaleźli... Jeszcze dwa dni, a wysadziliby wszystkich w powietrze... Od cesarskiego pałacu szedł podkop!..

Nie miałem możności sprawdzić tej opowieści, ale dyszała prawdą. Młody chłopak opowiadał ze wzruszeniem, jak zbudzono go w nocy, jak schwycił „amunicyę“ i „gwer“ i pobiegł z towarzyszami, jak w ciemnej ulicy do nich strzelano i jak kula przebiła mu rękaw.

— Bóg z nimi... z czinczami!.. Zabijął!.. A ojciec umarł, matka sama została, prosiła cesarza, aby mię wrócił, więc wracam... Co tu w Pekinie?!.. Nic niema, ani muzyki, ani dziewczętów, ani potańczyć gdzie... Czinezki smerdiat i krzywo patrzają... Chodzić samemu nie spieczno!.. Przecie precz lubią nas Austryaków... My im warkoczów nie obcinamy bez potrzeby, jak Niemcy, Francuzi, Taliany i inni ludzie... Ale matka sama została, więc jadę...

I wciąż wracał w rozmowie do kraju, do swoich, a ja myślałem o tych dwudziestu spiskowcach, którzy kopiąc wązki kanał podziemny pod obozowiskiem wrogów, szukali w tej bezrozumnej robocie ujścia dla swych zbolałych uczuć.

— Co im zrobią?

— Komu?.. Ach, czinczom?.. Hławy usiekut!

Żołnierz, Niemiec, który słuchał uważnie naszej rozmowy, tłomaczonej mu po włosku przez Chorwata, głową poważnie potakiwał.

— O tem pisano i w „Cajtungu“ i w „Nowinach“ — rozsiewał me wątpliwości Morawianin.

Był to zresztą wypadek tak naturalny, że nawet niebardzo wątpiłem *). Przypomniałem sobie, jak w Mukdenie w odludnych uliczkach rzucano na mnie łupinami, błotem, piaskiem, no i... tak sobie... małemi napomknieniami na duże kamienie. Przypomniałem sobie następnie, z jaką skwapliwością żołnierze chinscy w Pekinie biegli ku mnie z nadstawionymi bagnetami, gdybym spróbował zbliżyć się do wrót „Zakazanego Miasta,“ z jaką przyjemnością potem mój umorusany ryksza ubolewał nade mną:

— A co? Chińscy żołnierze... Nie puszczają... Nie puszczają chińscy żołnierze!..

Tłum, który się natychmiast koło nas zgromadził, też bardzo był zadowolony z zachowania się żołnierzy. Ci przecie nazbyt się pospieszyli, gdyż byłem jeszcze bardzo daleko od wzbronionego progu. W ich pośpiechu wyraźnie przebijała gwałtowna potrzeba wynagrodzenia sobie, choć w tak błahy sposób, za niedawne sponiewieranie świątyni narodowej. Zresztą ci sami żołnierze w chwilę potem prosili mnie dobrodusznie, abym pozwolił im spojrzeć przez moją lornetkę, i wziąwszy karabiny pod pachę, długo, uważnie patrzyli przez szkła. Żaden z nich pewnie nic nie widział, gdyż była nastawiona dla krótkiego wzroku, lecz każdy, zwracając ją, grzecznie podniósł wielki palec i powiedział:

— Chao! (dobrze).

W dalszym ciągu przypomniałem sobie, jak poważny i przyzwoicie odziany Chińczyk odskoczył ode mnie i uciekł, oglądając się z dzikiem przerażeniem, gdym w wązkiem przejściu podniósł zwolna rękę do czapki, prosząc go o przepuszczenie. Przypomniałem sobie następnie, jak na przystani w Szan-haju bili po twarzy wyrobników Europejczycy z „towarzystwa,“ ludzie ukształceni, których miałem za gentelmenów.

Pekin, choć brudny, zakurzony, cuchnący, sprawił na mnie wielkie wrażenie. Patrząc na jego potężne mury, na świątynie, pałace, bramy i wieże o poważnych, potężnych liniach, zrozumiałem ów głęboki wpływ, jaki Chiny wywarły na cały Wschód. Były to pamiątki olbrzymiej i doskonale zorganizowanej energii zbiorowej, coś bodaj że większego od budowli Egiptu. Nie dziwiło mię już, że Korea została wierną i ślepą Chin naśladowniczką, a Japonia pilną uczenicą. Wpływy Chin z jednej strony sięgnęły wysp Oceanu Spokojnego, z drugiej obiły się aż o brzegi morza Kaspijskiego; starożytne chińskie wyroby widywałem aż hen nad oceanem Lodowatym.

Teraz olbrzym umiera. Jako starzec widzi jedynie w przeszłości piękno i dobro. Lecz nie chce umrzeć przed czasem i w rzutach przymusowego zgonu nieraz jeszcze wstrząśnie światem.

— Za lat kilka czekają nas tu krwawe niespodzianki! — słyszałem, jak mówił jeden z posłów europejskich.

Do odrodzenia się Wschodu Europa nie dopuści. Zbyt ona głęboko wierzy w jedno z przykazań ubiegłego stulecia: „nie będziesz czcił praw innych nad prawa handlowe!..“

Stałem oparty o kamienną balustradę kanału, otaczającego „Zakazane Miasto“ i patrzyłem na szereg żółtych, wygiętych dachów, wystających z po za wysokich ścian purpurowych, na śliczną, wielopiętrową pagodę narożną, przeglądającą się w wodzie, na „Wzgórek Węglowy,“ uwieńczony misternemi kioskami. Szczególniej jeden z nich, podobny do niebieskiego pa-

*) Później dowiedziałem się, że o tem istotnie było w gazetach.

rasola chińskiego, ukryty wśród krzewów, cudnie grał barwnemi majolikami... Ale nawet zdała widać było, że wszystkie budynki są już zaniedbane, że się chylą do upadku, umierają... Jesienne, bezlistne drzewa, żółte, spłowiałe stoki pagórka, poszczerbione mury, daleko uchodząca, nieskończenie długa perspektywa pałaców, których widać było stąd jedynie złocone [illegible], zachodzące słońce—czerwone i bez blasku, wszystko owiane tumanami szarej, niesionej przez wichurę piaszczystej kurzawy, [illegible] się na obraz pełen nieokreślonej, bolesnej tęsknoty... Było mi czegoś bardzo żal. Student poblizkiej, wyższej szkoły, który mię oprowadzał po dziedzińcu pałacowym, trącił, mię nagle w ramię i wyciągnął rękę:

— Daj!

I natychmiast wyciągnęło się pokornie jeszcze dłoni kilkoro.

(C. d. n.).

W. Sieroszewski.

Z NOTATNIKA.

Wszystkie główniejsze porty Korei, jak Fusan, Mo-sam-po, Mok-po, Czempulo i Gensan są w istocie japońskiemi miasteczkami, posiadającemi japońską administracyę i małe załogi japońskie. W stolicy Korei, Seulu, też istnieje duża dzielnica japońska (4,000), doskonale zorganizowana, czysta i handlowa. Ilość Japończyków w Korei obliczano przed wojną na 25,000; lecz sądzę, że było więcej, gdyż oprócz miast osiedliło się ich dużo wzdłuż linij kolejowych Czempulpo-Seul oraz Fuzan-Seul. Ostatnia linia przecina półwysep z południa na północ, przechodzi przez najżyzniejsze i najludniejsze miejscowości Korei. Miała być otwarta w maju roku bieżącego; w czasie mej bytności ruch pasażerski już się odbywał na znacznej jej części.

Fuzan na południowym brzegu jest to port najbliższy Japonii; stara, japońska kolonia, zagarnięta przez Japonię jeszcze w XVI wieku. Najbardziej handlowe Czemulpo na zachodnim brzegu (45 kilometrów od Seulu) ma obszerny, ale płytki port; broni go licha warownia koreańska. Genzan leży na wschodnim brzegu w połowie drogi od Japonii do Władywostoku. Z Genzanu (320 wiorst do Seulu) prowadzi droga przykra i górzysta, ale dostępna dla wojsk. Przypuszczam jednak, że akcya wojenna skupi się na zachodzie i północy. Najdogodniejszym dla wysadzenia wojsk jest tam port Czinam-po, głęboki i zaciszny, leżący w ujściu rz. Tai-tong, w odległości kilkudniowego marszu od rz. Jalu. Japończycy zajęli go w swoim czasie.

Aby skłonić młodzież do kolonizacyi Korei, rząd japoński zaliczał lata pobytu na półwyspie za służbę w wojsku; stąd wśród kolonistów przeważa młodzież płci męzkiej. W czasie rozruch 1882 r. w Seulu Japończycy z posłem Hanabuza na czele, osaczeni przez połączone z rokoszanami wojsko koreańskie, szablami utorowali sobie drogę i uszli do Czemulpo, wziąwszy w środek czworoboku kobiety i dzieci. *W. Sier.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Bankructwo klerykalizmu. — Ks. Pelczar w Przemyślu. — Praca kulturalna Rusinów w roku ubiegłym. — Wystawa przyrodniczo-lekarska.

Klerykalizm galicyjski ponosi jedną klęskę po drugiej. Niefortunny list biskupa tarnowskiego nie przyczynił się do utrwalenia wpływów kościoła wojującego na umysły chłopskie. Pismom, przeciwko którym występował, nie zaszkodził najzupełniej, natomiast dał im do rąk potężny środek przeciwko klerykalizmowi i wśród mas wywołał rozgoryczenie do księży. Upadek lwowskiego *Przedświtu* — jedynego poważnego organu politycznego klerykalizmu galicyjskiego — jest drugą jego klęską. Pismo to, nieźle nawet redagowane, nie znalazło dostatecznej liczby prenumeratorów, przeto po wyczerpaniu funduszu zakładowego, dostarczonego przez dygnitarzy kościelnych, musiało upaść, tak samo, jak jego poprzednik—*Ruch katolicki*. Nie pomogło mu usunięcie z tytułu krzyczącego przymiotnika „Ruchu,“ nie pomogło udawanie opozycyjności, nie pomogło kokietowanie prądów demokratycznych, ani nawet sprowadzenie redaktora z Anglii — nikt pisma czytać nie chciał, a samo duchowieństwo utrzymać go nie mogło. Po *Przedświcie* przyszła kolej na inne pismo klerykalne. Oto wydawane przez biskupa przemyskiego, Pelczara, *Echo Przemyskie*, noszące dotychczas w nagłówku napis „organ stronnictwa katolicko-narodowego,“ ogłosiło, że przestaje być pismem tego stronnictwa i usuwa wspomniany tytuł z nagłówka. Krok ten był spowodowany faktem rozwiązania się owego stronnictwa katolicko-narodowego.

Ciekawe są dzieje tego „stronnictwa.“ Założone w r. 1900 przy sposobności 25-letniego istnienia „Gwiazdy,“ stowarzyszenia rzemieślniczego, powstało bez żadnych poważniejszych zachodów. Obecni na obchodzie księża wraz z kilkunastu majstrami odśpiewali hymn austryacki, wysłali telegram do papieża z prośbą o błogosławieństwo i ogłosili się za „stronnictwo.“ A za swój organ wybrali wydawane przez biskupa Pelczara *Echo Przemyskie*. Działalność rozpoczęto od zbierania funduszu na walkę z miejscową organizacyą robotniczą. Wydano paszkwil przeciwko zarządowi miejscowej kasy chorych, prowadzonej istotnie wzorowo, co zostało stwierdzone niejednokrotnie przez specyalnego lustratora kas chorych. Paszkwil ten rozrzucono w 4,000 egzemplarzy w przededniu wyborów do kasy chorych, przygotowując w ten sposób grunt do zdobycia instytucyi przez klerykałów. Wybory jednak przyniosły nowemu stronnictwu gorzkie rozczarowanie, gdyż lista katolicko-narodowa otrzymała z koła robotników 33 głosy wobec 460, otrzymanych przez antyklerykałów, z koła zaś pracodawców 11 na 191 oddanych. Pierwsze więc wystąpienie stronnictwa katolicko-narodowego skończyło się kompletną porażką, pomimo że udzielili mu bardzo energicznej pomocy żydowscy lichwiarze i właściciele domów publicznych.

Echo Przemyskie nie dało jednak za wygraną i zamieszczało raz poraz oszczercze notatki przeciwko zarządowi kasy chorych, które potem musiano odwoływać. Te niepowodzenia zmusiły stronnictwo katolicko-narodowe do przeniesienia działalności gdzieindziej, mianowicie na pole spekulacyj geszefciarskich. Na ten cel znowu zbierano składki, z których założono sklep. Przedsiebiorstwo to jednak istniało bardzo krótko, gdyż kierownik sklepu, Molenda, okazał się oszustem, a główny kasyer, Patryn, uchronił się od piętna hańby tylko spiesznem usunięciem się ze wszystkich stanowisk aż do dyrektorstwa w szkole ludowej, którą dość długo piastował. Dość kompromitującym dla stronnictwa katolicko-narodowego był fakt blizkich stosunków niektórych jego członków z osławionym Węgrzynem, znanym oszustem i fałszerzem pieniędzy.

Wszystko to musiało w końcu doprowadzić do upadku „stronnictwa,“ zwłaszcza że w tem był zainteresowany bezpośrednio główny inicyator całej akcyi — biskup Pelczar. Ten drogą składek zdołał zebrać przeszło 26,000 koron, nadto uzyskał od rządu 20,000 k., a od gminy 12,000 k. Za te pieniądze odrestaurował darowany mu przez rząd budynek starego gimnazyum, gdzie ulokował kupioną przez siebie drukarnię. Drukarnia ta została zaintabulowana na imię ks. biskupa. Dziś, kiedy „stronnictwo“ przestało istnieć, nikt się nie może dopomnieć o zwrot tych sum, ani o sprawozdanie, na co zostały użyte. W każdym razie innym działaczom klerykalnym, którzyby chcieli pójść za przykładem biskupa przemyskiego, nie ada się już tak łatwo zbieranie składek na „stronnictwo.“

Ponieważ notuję skwapliwie wszelkie objawy pracy kulturalnej społeczeństwa polskiego w Galicyi, przeto warto od czasu do czasu rzucić okiem i na to, co się dzieje w tym zakresie u Rusinów, zwłaszcza że ułatwia mi pracę bilans roczny różnych stron życia społeczenstwa rusińskiego, drukowany obecnie w *Dile*.

Ze wszystkich instytucyj kulturalno-oświatowych na Rusi na pierwszem miejscu postawić należy towarzystwo „Proświtę,“ wydające corocznie 12 tomików broszur treści popularno-naukowej i beletrystycznej dla ludu i zakładające czytelnie po wsiach i miasteczkach. Z końcem r. 1903 było czytelni „Proświty“ 1,345, z których 177 powstało w ciągu roku zeszłego. Jakkolwiek znaczna liczba tych ognisk oświaty nie funkcyonuje należycie, to jednak pozostała część niewątpliwie oddaje znaczne usługi.

Całą działalnością „Proświty“ kieruje jej zarząd główny, ale oprócz zarządu centralnego istnieją t. zw. filie, pośredniczące pomiędzy zarządem głównym a poszczególnemi czytelniami. One to dozorują istniejących już czytelni i zakładają nowe, po za tem zaś prowadzą bardzo szeroką niekiedy działalność kulturalną, niezależnie od czytelni. Obecnie istnieje takich filij 30, z pomiędzy których 8 powstało w ciągu roku ubiegłego. Te ostatnie, jako młode, rozwijają najbardziej intensywną działalność. Z dawniej istniejących tylko 6 (na 22) pracuje energicznie. Taka filia w Brzezanach zwołała wiec oświatowy, urządziła koncert popularny i założyła 12 nowych czytelń; lwowska zwołała dwa wiece oświatowe, połączono z koncertami; stryjska pilnie lustrowała czytelnie swego okręgu, opiekowała się mleczarstwem i założyła 6 nowych czytelu; rudecka zwołała wiec oświaty, prowadziła bursę włościańską i założyła 9 sklepików wiejskich; złoczowska założyła bursę włościańską i zwołała wiec oświatowy.

Najczynniejszem po „Proświcie“ stowarzyszeniem jest Towarzystwo pedagogiczne, którego główne zadanie polega na organizowaniu rusińskich nauczycieli ludowych, zakładaniu burs i żeńskich zakładów naukowych. Składa się z Towarzystwa macierzystego i filij na prowincyi. Pierwsze liczy 1,300 członków, z których 330 (przeszło 25%) przybyło w roku zeszłym. Liczba filij podniosła się o 7 i wynosi 21, wszystkie liczą około 1,200 członków, z nich przypada 350 na filie nowopowstałe. Towarzystwo macierzyste zorganizowało następujące zakłady: prywatne seminaryum nauczycielskie żeńskie, żeńską szkołę wydziałową im. Szewczenki, posiadającą prawo publiczności i liczącą 159 uczennic; kurs języka i literatury ruskiej dla uczennic polskich szkół wydziałowych, liczący 59 słuchaczek; kurs dla analfabetów (131 słuch.); żeński instytut św. Olgi, składający się z bursy dla 36 dziewcząt i oddziału dla 14 dziewcząt zamożniejszych; instytut św. Mikołaja dla 54 uczniów gimnazyalnych i nareszcie bursę dla przeszło stu gimnazistów. Po za tem Towarzystwo wydaje dwa pisma — *Uczytel* dla nauczycieli i *Dzwinok* dla dzieci.

Co do działalności filij Towarzystwa pedagogicznego, to najczynniejszą jest filia

w Przemyślu, utrzymująca bursę gimnazyalną, szkołę dla sług (40 uczennic), kurs dla analfabetów. Filia tarnopolska utrzymuje kurs dla analfabetów, kurs przygotowawczy do egzaminów gimnazyalnych, buduje „Narodny Dom“ i ma w swem gronie ruchliwe „Kółko pan“. Filia w Brzeżanach utrzymuje bursę włościańską i kurs przygotowujący do gimnazyum. Reszta filij bądź utrzymuje bursy włościańskie, mieszczące od 17 do 38 chłopców, bądź urządza wykłady i konferencye.

Oprócz „Proświty“ i „Towarzystwa Pedagogicznego“ różne inne towarzystwa mają swe bursy w całym szeregu miast. Systematyczne zaś wykłady naukowe (popularne) odbywały się w roku ubiegłym w dwóch miastach: w Kołomyi—około 30, staraniem miejscowego „Narodnego Domu“ i we Lwowie 38, staraniem „Kółka panien ukraińskich“. Te ostatnie miały 8000 słuchaczy, koło miejskie zaś około 6000.

Po za tem istnieją inne jeszcze rusińskie instytucye oświatowe, utrzymywane ze źródeł prywatnej ofiarności, jak np. liceum żeńskie w Przemyślu, żeńska szkoła wydziałowa w Jaworowie i t. d. Należy tu dodać jeszcze związek towarzystw muzyczno-śpiewackich czyli „Bojanów“, który zawiaduje „Wyższym instytutem muzycznym“ we Lwowie, założonym w roku ubiegłym, a liczącym już do 100 uczni. „Towarzystwo naukowe im. T. Szewczenki“, skupiające całą działalność naukową świata rusińskiego, a rozwijające coraz to energiczniejsze prace, zajmuje poczesne miejsce w szeregu instytucyj kulturalnych Rusi, ale omówienie tej jego pracy wymagałoby specyalnego artykułu, nie zaś krótkiej wzmianki.

Jak widzimy, Rusini skrzętnie szeregują swoje siły na polu pracy kulturalnej i czynią pod tym względem bardzo dużo, jakkolwiek są społeczeństwem bardzo ubogiem, w dodatku posiadającem liczny zastęp inteligencyi, wrogo traktującej samodzielny rozwój Rusi.

Z okazyi dziesiątego zjazdu polskich lekarzy i przyrodników, mającego odbyć się we Lwowie w lipcu r. b. zostanie urządzona wystawa przyrodniczo-lekarska i hygieniczna. Komitet wystawowy już rozpoczął swe czynności, obiecujące wyłamać się z ram, w jakie podobne wystawy u nas były ujmowane i uczynić ją dostępną i interesującą nietylko dla kół fachowych, ale także dla najszerszych warstw społeczeństwa. W myśl tej zasady opracowany został projekt wystawy, obejmującej obok oddziału przyrodniczo-lekarskiego również oddział hygieniczny. W oddziale przyrodniczo-lekarskim zostanie umieszczona grupa balneologiczna, mająca zestawić dokładne dane o zdrojowiskach leczniczych w Galicyi i zakładach klimatycznych kraju. Dalsze grupy: aptekarska, przemysłu chemicznego, narzędzi i przyrządów — dadzą obraz rozwoju wytwórczości galicyjskiej w tych dziedzinach. Najciekawszym dla naszej publiczności będzie jednak niewątpliwie oddział hygieniczny. Oby zwiedzenie tego działu wpłynęło na rozszerzenie wśród publiczności galicyjskiej zdrowych poglądów hygienicznych! Pod tym względem bowiem społeczeństwo nasze jest ogromnie zacofane. Dość przyjrzeć się urządzeniom mieszkań w Krakowie lub Lwowie, ażeby zrozumieć, jak daleko nam jeszcze pod tym względem do oświeconych społeczeństw Europy Zachodniej. Brak najkonieczniejszych udogodnień życia wprost bije w oczy każdego, kto choć czas jakiś przebywał na zachodzie. W Krakowie i we Lwowie można znaleźć dwupiętrowe kamienice, posiadające jedno tylko miejsce ustępowe. Urządzenie tych ostatnich w najbardziej nawet eleganckich kamienicach wprost urąga wszelkim elementarnym wymaganiom hygieny. Albo przedstawmy sobie następujący obrazek. W starej, przesiąkniętej miazmatami, kamienicy mieści się „ogródek freblowski“ — mieści się w jednym pokoju, w którym przebywa 12—20 dzieci. Wejście do pokoju wprost ze schodów. Tu się dzieci rozbierają, tu za parawanikiem, w kącie załatwiają wszystkie swoje potrzeby naturalne. Para ze schnących ubranek miesza się z wyziewami szkodliwymi—i w takiej atmosferze muszą przebywać po kilka godzin dziennie dzieci—nie z najuboższej sfery proletaryatu, które nie mają innego wyjścia, ale z kół już nieco zamożniejszych, mogących zapłacić parę reńskich za pobyt dziecka w tym „ogródku“. Jeśli matki z tych kół nie protestują przeciwko tak ohydnym warunkom, to czegóż można wymagać od sfer zupełnie niewykształconych. Należy mieć nadzieję, że wystawa hygieniczna popchnie ludzi do zrobienia pewnych kroków w kierunku spopularyzowania bodaj podstawowych pojęć hygieny w społeczeństwie.

Daleki.

Listy z Francyi.

Paryż, 10 lutego.

Prawo o ubezpieczeniu pracowników od wypadków podczas pracy. — Dążenie do rozszerzenia prawa z 1898 r. na choroby zawodowe, wynikające z otrucia ołowiem, rtęcią, arsenem, fosforem i chlorem.

Urzędowy komitet hygieny przemysłowej wydał przed kilku dniami obszerną, nader ciekawą pracę złożoną z ogólnego sprawozdania sekretarza inżeniera Leclerc de Pulligny oraz dziesięciu referatów wybitnych hygienistów. Jest ona niewątpliwie owocem sumiennych i mozolnych badań i była jeszcze rozpoczętą przed dwoma laty na żądanie Millerand'a, ówczesnego ministra handlu, kiedy w końcu 1901 r. za inicyatywą kilku deputowanych radykalnych Izba zawotowała nagłość co do rozszerzenia prawa o wypadkach podczas pracy z 1898 r. i na choroby zawodowe.

Na zasadzie prawa z 1898 r. w razie wypadku podczas pracy, jeśli robotnik jest do niej niezdolny dłużej niż dni cztery, pracodawca lub towarzystwo, w którem ten ostatni ubezpieczył swych pracowników, opłaca koszta lekarza i aptekarza, jako też daje poszkodowanemu połowę jego płacy dziennej. W razie zaś zupełnej i ciągłej niezdolności do pracy, musi mu wypłacać rentę, równającą się dwom trzecim zarobku rocznego a jeśli śmierć nastąpi dawać wdowie lub dzieciom od 20 do 60% rocznej płacy.

Prawo francuskie nie mówi wyraźnie, co należy rozumieć pod wyrazami „wypadek podczas pracy“ (accident du travail). Prawodawcy, deputowani zwłaszcza radykalnych odcieni, jakby umyślnie nie dali ścisłego określenia, aby w razie potrzeby podciągać pod nie choroby przewlekłe, wynikające z pracy.

Niestety jednak sędziowie postarali się o ile można ograniczyć prawo, do czego pomogli im eksperci komentatorzy d-r Becker z Niemiec, dr. Kauffmann z Austryi i dr. Rohmer z Francyi, a szczególnie prawo niemieckie. Tam mówi się wyraźnie, iż za wypadki przy pracy uważać należy jedynie zachodzące raptownie, wskutek jakiejś nagłej przyczyny (*evenement subit*), gdy chwilę i miejsce wydarzenia można ściśle określić w przeciągu czasu względnie krótkiego.

Słowem, według dzisiejszego tłomaczenia prawa jeśli, czynnik szkodliwy działa przez kilka godzin lub najwyżej przez jeden dzień, można to nazwać wypadkiem podczas pracy,—za który należy się odszkodowanie. Jeśli jednak ten sam szkodliwy czynnik trwa przez kilka tygodni lub miesięcy, to jakkolwiek sprowadza uszkodzenia lub zaburzenia często niebezpieczniejsze, niż w wypadku nagłym, —niema już t. zw. *accident du travail*, lecz choroba zawodowa, nad którą jeszcze prawodawstwo nie rozpostarło swej opieki.

Z powodu tak ciasnego pojmowania prawa z 1898 r. zapadają dziwaczne wyroki sądowe. Robotnik np. który pracuje w bardzo gorącem miejscu, a natychmiast potem w zimnej piwnicy i nabawia się zapalenia płuc, ma prawo do oszkodowania, gdyż jest to wypadek przy pracy. Ale jeśli zakłada rury wodociągowe, całe dni trzyma nogi w wodzie i wskutek tego zapadnie na zapalenie płuc, to nie może żądać najmniejszego odszkodowania i musi leczyć się na swój koszt. Robotnik, który raptownie wchłonął gaz chloru i zachorował na zapalenie oskrzeli, leczy się i jest odszkodowany przez pracodawcę lub jego towarzystwo asekuracyjne. Ale niech będzie narażony na ciągłe i niewypadkowe wdychanie tegoż chloru, jak to ma miejsce obecnie w fabrykach sody i niech zapadnie na chroniczne zapalenie oskrzeli, nawet suchoty, musi umierać w szpitalu i w nędzy zostawić rodzinę, nie ma bowiem prawa do żadnego odszkodowania za utratę zdrowia i życia.

Każdy z łatwością pojmie, że takie różniczkowanie chorób i uszkodzeń, wynikających z pracy, jest wysoce niesprawiedliwem. Stokroć straszniejszem jest dla robotnika ciągłe narażanie zdrowia niż stracenie w nagłym wypadku małego palca lub nawet części stopy. A praca w obecnych warunkach hygienicznych sprowadza tysiączne, szkodliwe skutki. Nie można zaprzeczyć, że dziś, zwłaszcza w większych fabrykach, więcej przestrzegają hygieny, niż przed laty, że wprowadzono liczne środki ostrożności celem uchronienia od wypadków i zmniejszenia szkodliwości pracy, jak maski, rękawice, okulary i t. p., ulepszono wentelacyę, zmniejszono czas pracy. Nie mniej przecież z powodu wielkiego rozwoju przemysłu i handlu ofiary pracy liczą się na dziesiątki tysięcy. Bardzo znaczny ich procent pochodzi z nadmiaru pracy, z niedostatecznego odpoczynku, z niehygienicznej postawy, z wielkiego wydatku sił, ze zbyt długiego natężenia uwagi i t. p. Szkodliwe skutki tych przyczyn powinny być bezwarunkowo podciągnięte pod prawo z 1898 r. i robotnik powinien być odpowiednio odszkodowany.

Nawet we Francyi, gdzie pragną istotnie rozszerzyć to prawo, walka w tym kierunku spotyka się z nad wyraz silnym oporem pracodawców. W obecnej chwili chodzi jedynie o otrucia ostre i przewlekłe, wynikające z rodzaju pracy. Komisya hygieniczna, jako też deputowani, którzy tę sprawę w Izbie podnieśli, żądają odszkodowania z jednej strony dla ofiar otrucia ołowiem, rtęcią, arszenikiem, siarkiem węgla anilina, benzyną, chlorem, bromem, siarkiem wodoru i t. p., z drugiej dla robotników wskutek pracy, jak górnicy, brukarze, którym płuca zepsuło wdychanie pyłu, jak również dla tych, którzy zmuszeni są wystawiać skórę na ciągłe podrażnienia, mogące sprowadzić niezdolność do pracy.

Takie rozszerzenie prawa o zabezpieczeniu robotników zmuszałoby właścicieli fabryk i warsztatów do zaprowadzenia wielu hygienicznych ulepszeń, do zmiany sposób, fabrykowania pewnych produktów, do usunięci substancyia trujących i dawania robotnikom pomocy lekarskiej przy najmniejszych objawach otrucia.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielką jest ilość ofiar otrucia w przemyśle. Najbardziej rozpowszechnione i najwięcej spustoszeń przynosi otrucie ołowiane, któremu podlegają pracownicy w stukilkunastu za-

wodach. Najczęściej ulegają mu wyrabiający różne przetwory ołowiu (węglan ołowiu, dwuchromian ołowiu, tlenek ołowiu i t. p.). W samym Paryżu jest conajmniej 30,000 robotników mniej lub więcej zatrutych ołowiem, a z nich conajmniej 3,000 skazanych na niezdolność do pracy. Odżywianie u osób wystawionych na działanie ołowiu w prędkim czasie ulega mniej lub więcej wyraźnym zmianom, które stanowią istotę niedokrewności i skażenia ołowianego. Osoby dotknięte tem cierpieniem bledną i chudną, skóra, zwłaszcza na twarzy, przybiera barwę żółtawą, na dziąsłach pojawia się charakterystyczna obwódka ołowiana, tętno staje się małe i miękie.

Jeśli się nie usuną one od dalszego wpływu szkodliwych czynników, podlegają rozmaitym ostrym i chronicznym przypadłościom, z pomiędzy których powszechnie znana jest kolka ołowiana. Znacznie rzadziej—raz jeden na 14 chorych—objawiają się zaburzenia mózgo-rdzeniowe, bredzenie, drgawki, padaczka, śpiączka, porażenie pewnych mięśni, czasem nawet ogólne porażenie, drżączka, nerwobóle, bóle stawowe, znieczulenie. Niekiedy występują objawy chorobowe wzroku, słuchu, czasami białkomocz, dychawica. Podlegający kilkakrotnie zaburzeniom zdradzającym otrucie ołowiane, i którzy pomimo tego nie porzucili szkodliwego zajęcia, podpadają ostatecznie w stan charłactwa, będący tylko wyższym stopniem powyższego skażenia i prowadzący do grobu. Słowem, otrucie ołowiane jest nader łatwe, a skutki jego są straszne, gdyż zwolna wszystkie niemal organy zostają zakażone, a cały organizm ulega rozstrojowi. Środki zapobiegawcze (wentylacya, czystość, częste obmywanie rąk i twarzy, lekkie, przeczyszczające środki, wanny siarczane, zażywanie jodku potasu) są bardzo pożądane, ale niestety całkiem niedostateczne. Jedynym sposobem zaradzania złemu jest zastąpienie blejwasu czyli bieli ołowianej wielce szkodliwej dla zdrowia przez biel cynkową całkiem nieszkodliwą; a pod względem technicznym oddającą też same usługi. Od lat 120 środek ten jest już dobrze znany, a w połowie wieku przeszłego dzięki Leclaire i Chevalier prowadzono bardzo gorącą kampanię przeciw bieli ołowianej i otrzymano zwycięztwo—jakkolwiek jednak czysto teoretyczne. Nie udało się skłonić w praktyce do zaniechania używania bieli ołowianej, gdyż fabrykanci blejwasu, ciągnący z tego przemysłu znaczne zyski, stawiali zajadły opór. W 1900 r. po kongresie malarzy wszczęto znów niesłychanie energiczną walkę. Pomimo przychylnych opinii różnych powag naukowych i komitetu hygienicznego dopiero jednak w roku zeszłym izba przyjęła projekt prawa, zabraniającego używania blejwasu przy malowaniu budynków, ale i to z pewnem zastrzeżeniem, że w razach wyjątkowych minister handlu może dozwolić na jego użycie.

Obok zatrucia ołowianego na szczególniejszą uwagę zasługuje otrucie rtęciowe, na które narażeni są nietylko górnicy, wydobywający ten metal, ale i robotnicy w 20 conajmniej zawodach, (jak kapelusznicy, pozłotnicy metali, pracujący w fabrykach luster, termometrów i barometrów, i t. p.). Sprowadza ono przewlekłe zapalenia gardła, ślinotok, nieżyt żołądka i kiszek, bóle stawowe, drżenie, niekiedy porażenie, nieżyt krtani i oskrzeli, jakoteż rozmaite wysypki. Podkopuje ostatecznie ogólne odżywienie i wywołuje stan charłactwa, objawiający się krwotokami, bladnicą skóry, puchliną twarzy i kończyn, przytępieniem władz umysłowych i osłabieniem wszystkich czynności ustroju.

Znanemi też powszechnie są otrucia arsenem. Najniebezpieczniejszemi są fabrykacye, do których używają arsenu w stanie rozpuszczalnym lub w których wydzielają się pary arszenikowe, a więc prace w kopalniach, dalej wyrabianie kwasu arsenowego, zieleni szweinfurckiej, śrutu, barwników anilinowych, fuksyny, przygotowywanie skóry dla wyrobu kapeluszy, fabrykacya obić i kwiatów sztucznych i t. p. — Głośnemi również są otrucia fosforem, choć ilość ofiar zmniejszyła się we Francyi znacznie od chwili, gdy zaprzestano używać do fabrykacyi zapałek zabójczego białego fosforu.

W ostatnich czasach, od lat czterech lub pięciu pojawiło się mało jeszcze znane otrucie chlorem. Zaczęto bowiem wyrabiać sodę, rozkładając rozczyn chlorku sodu za pomocą elektrolizy na chlor i sodę. Otóż robotnicy, wystawieni na działanie gazów chloru, podlegają strasznej chorobie skórnej: na twarzy, a potem na całem ciele występują ogromne krosty czerwone, ropiące się, a wszystkie pory zdają się być zatkane czarnemi ingredyencyami. Nieszczęśliwi ci mają wygląd wprost odrażający, potworny, a najznakomitsi specyaliści szpitala Saint-Louis bezowocnie dotychczas usiłują leczyć tę straszną chorobę. Prócz tego ofiary otrucia chlorem zapadają jednocześnie na zapalenie oskrzeli i krtani, co bardzo często kończy się suchotami.

Wobec tak licznych i tak groźnych chorób zawodowych naturalnem jest, że ludzie szerszego umysłu chcieliby koniecznie podciągnąć je pod prawo z 1898 r. o wypadkach podczas pracy, oraz że komisya hygieny zawodowej, utworzona przez Milleranda, jednogłośnie i usilnie tego się również domaga. Wielu z nich jednak obawia się, że zastosowanie nowego prawa w praktyce spotka ogromne przeszkody, trudno bowiem określić według nich — gdzie się zaczyna a gdzie kończy choroba zawodowa.

Obawy te jednak są płonne, gdyż rozpoznanie choroby istotnie zawodowej nie jest znowu tak trudnem, np. egzema rąk u praczek jest niewątpliwie choroba zawodową, za którą należy się odszkodowanie, a tymczasem reumatyzm woźnicy nie zależy ściśle od jego fachu. Ażeby jednak osądzić, czy dane zaburzenie organiczne jest wynikiem pracy, przewlekłej choroby zawodowej, a nie dawnych chorób niezależnych od pracy,—należałoby mieć dokładne wiadomości o zdrowiu każdego od lat najmłodszych. Dla tego też jedni, radzą aby robotnicy mieli książeczki sanitarne (*livret sanitaire*), w których notowanoby ściśle stan zdrowia i przebywane choroby; był by to dobry sposób, gdyby takie książeczki prowadzone były przez lekarzy gield pracy lub związków zawodowych. Drudzy znów żądają, aby w każdej fabryce lub warsztacie istniała księga dla ścisłego notowania przez lekarzy fabrycznych wszystkich zaburzeń, dolegliwości i chorób, jakim podlegali robotnicy, — tu jednak można przewidywać, że lekarz, zależny od fabrykanta, będzie się starał zawsze w obronie interesów swego chlebodawcy przedstawiać jak najlepiej stan zdrowia robotników.

W każdym jednak razie rozszerzenie prawa z 1898 r. na otrucia zawodowe będzie jedną więcej zdobyczą ludu pracującego, gdyż zmusi fabrykantów do ściślejszego stosowania hygieny.

Dr. Józef Zieliński

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

W obłędzie.

Przy zwyczajnem świetle codziennych zdarzeń nie widzimy ostrzegających znaków życia — potrzeba nam do tego błyskawicy gromu. Doczekaliśmy się jej w wypadku, w którym objawiła się nielada nauka.

Niejaki Włod. hr. Dąmbski, którego równowaga umysłowa naruszała się już kilkakrotnie, zaczął znowu zdradzać gwałtowne rozdrażnienie: przywoływał w nocy dzwonkiem służącą, wydawał jej niezrozumiałe rozkazy i strzelał z rewolweru w sufit. Gospodyni mieszkania, która mu odnajmowała pokój, zaniepokoiła się tymi wybrykami swego lokatora, ale nie uważała za stosowne zwrócić na niego czyjejkolwiek uwagi. Nazajutrz D. udał się do restauracyi, gdzie przy płaceniu rachunku wybuchnął szałem i dobył rewolweru. Sprowadzono policyę. Był to moment, w którym należało waryata ubezwładnić, oddać pod dozór i zapobiedz dalszym jego wybrykom. Trzeba było jednak spisać protokół. Dwaj policyanci odwieźli chorego do jego mieszkania przy ulicy Złotej. Wysiadł on względnie spokojny, ale na nieszczęście potrzeba było od niego jakiejś informacyi dla spisania protokółu, więc gdy wysłany stróż domu chciał wejść po nią, wzburzony szaleniec strzelił do niego dwukrotnie i zamknął się. Gdyby go nie drażniono i próbowano ułagodzić, zapewnie dałby się opanować, a przynajmniej nie wpadł w tę furyę, która go popchnęła do strasznych czynów. Naprzód bowiem (w mniemaniu, że jest cesarzem austryackim), wyszedł na balkon w rękawicach fechtunkowych, z rapirem w ręku, i ukazując obraz Sobieskiego, przemawiał do zgromadzonego na dole tłumu. Usiłowanie jednak policyi wyłamania z korytarza drzwi i nierozważne podniecania ze strony widzów na zewnątrz, wpędziły go w taką wściekłość, że nabijając dubeltówkę i sztucer, zaczął z balkonu strzelać do przeciwległych domów i przechodniów. Ponieważ zaś długo nie zatamowano dopływu ciekawych i nieopatrznych, więc ofiary mnożyły się szybko. Sprowadzona straż ogniowa nie pokonała go strumieniem puszczonej wody, próby zastrzelenia waryata skończyły się ciężkiemi ranami polujących na niego — a on ciągle prowadził swą celną kanonadę. Od wieczora do rana zranił lub zabił 20 kilka osób. Zupełna bezradność nie mogła się zdobyć na żaden pomysł skuteczny. Postanowiono wreszcie usłuchać dość dziwnej rady pewnego lekarza, ażeby wyświdrowawszy w ścianach dziury, napełnić mieszkanie waryata formaliną i odurzyć go. Tymczasem on nad ranem widocznie osłabiony, zmoczony, zziębnięty cofnął się wewnątrz pokoju i stamtąd wysyłał rzadsze strzały. Prawdopodobnie po kilku godzinach byłby z wyczerpania omdlał. Wtedy zgłosił się amator, nazwiskiem Kełpiński, który obiecał z przeciwległego domu zastrzelić szaleńca. Zaczaiwszy się w oknie trzeciego piętra, zasłonięty manekinem, czekał na pomyślną sposobność. Daremnie gwizdaniem i trąbką strażacką starano się wywabić Dąmbskiego na balkon — nie wychodził. Ponieważ w jego mieszkaniu było ciemno, więc spuszczono z góry pochodnię przez okna, która go oświeciła. Wtedy ów

amator wziął go na cel i strzelił. Biedny waryat runął trafiony w głowę. Kiedy do niego wreszcie wtargnięto, leżał zbroczony krwią. Spisano protokół, przyczem lekarze Pogotowia zdążyli nałożyć opatrunki. Nieprzytomnego, wydającego słabe jęki odwieziono do więzienia. Jak donosi jedna z gazet, nieszczęśliwy furyat, ujrzawszy wchodzących, wyszeptał: „Co wyście ze mną zrobili?“

To niebywałe w swym przebiegu i zakończeniu zdarzenie wywołało w prasie krytykę. Słusznie odezwał się *Kuryer Codzienny*.

Historya owej fatalnej nocy przy ulicy Złotej i sposób bombardowania szaleńca, toć to chyba rzecz dotąd jedyna w dziejach i bezprzykładna. Czytaliśmy bowiem zdarzenia, w których nie jeden człowiek, ale paru lub kilku zabarykadowało się w mieszkaniu, grożąc śmiercią każdemu, ktoby odważył się przestąpić próg, a pomimo to wyłamywano drzwi i obezwładniano niebezpiecznych przeciwników.

Wiemy, że dla uratowania jednego życia ludzkiego nieraz rzucano się do wnętrza płonącego domu z narażeniem własnego życia. A tu nie znalazł się nikt odważny, nawet z pośród tych, dla których odwaga jest obowiązkiem, coby usiłował dostać się i odebrać broń zabójczą szaleńcowi. Natomiast skradano się, czołgano po ziemi i strzelano do nieszczęśliwego

Nie wiemy, jak dla kogo, ale dla nas wstrętną jest cała ta epopeja maskaradowiczów w lakierkach i błyszczących cylindrach, którzy znudzeni brakiem intrygi maskaradowej, pędzą szukać innych wrażeń, przełażą wraz z policyą przez dachy, czołgają się ostrożnie po podłodze sąsiednich mieszkań i wyszukują bezpiecznego kącika, skądby można było strzelać do szaleńca.

Jeden z owych „maskaradowiczów“ jedna z owych dusz reporterskich, w których krwawy dramat wiąże się łatwo z błazeństwem, za pomocą fosforycznego frazesu, opisała rzeczywiście w *Kuryerze Warszawskim* swoje lakierki, cylinder i czaty w polowaniu na waryata. Czasem zwyrodnienie zabija w obłędzie ludzi, a czasem chwali się publicznie taką wyprawą podczas maskarady.

Co to jest zakłócenie spokoju.

Każdy kodeks prawa zawiera pewną ilość artykułów, których granice praktyka rozszerzyła nadmiernie i które domagają się zmiany. Niemcy mają *grober Unfug* — my mamy „zakłócenie spokoju publicznego.“ Z powodu zastosowania tego paragrafu przez sądy pokoju w kilku wypadkach, stał on się znowu przedmiotem uwag w prasie. Rzeczywiście wytwarzają się położenia dziwne. Ktoś bez powodu, pijak albo awanturnik, napada cię na ulicy lub w restauracyi; ty się bronisz, powstaje wrzawa, tworzy się zbiegowisko, przybywa policya, prowadzą was *obu* do cyrkułu, a za kilka tygodni dostajesz wezwanie do sądu „o zakłócenie spokoju publicznego.“ Tu sprawa zupełnie się wyjaśnia, pomimo to nieraz możesz być uznany za winnego i — lżej niż twój przeciwnik — ale jednak skazany. Otóż tu jest jądro kwestyi. Co ma robić człowiek napadnięty, ażeby nie „zakłócić spokoju publicznego“? Niepodobna, ażeby wytrzymał atak cierpliwie i bezczynnie, a jeżeli wolno mu się bronić, za co pociągany bywa do odpowiedzialności? Może on być świadkiem, ale nigdy oskarżonym. Dodać należy, że nie jest to jedyny wypadek, ilustrujący nadmierne rozszerzenie owego paragrafu. Bo jeżeli pospieszysz na ulicy z pomocą komuś krzywdzonemu, możesz również stać się sprawcą „naruszenia spokoju publicznego“ i swoją chęć ratunku odpokutować.

Pytanie.

Naczelnicy ruchu dróg żelaznych obradowali w Petersburgu nad letnim rozkładem jazdy. Pisma donoszą o kilku postanowionych zmianach, ale wcale nie wspominają, czy też utrzyma się nadal jeden z największych dziwolągów tutejszej gospodarki kolejowej. Mianowicie radzibyśmy wiedzieć, czy na owym zjeździe delegaci drogi Nadwiślańskiej zakomunikowali towarzyszom niewiarogodną wiadomość, że oni z miasta, liczącego 700,000 ludności, wypuszczają pociągi *osobowe* po ważnej linii Warszawa-Mława *tylko w nocy*, że ludzie mieszkający w promieniu 3 godzin od Warszawy, chcąc do niej przyjechać, muszą nie spać dwie noce; że wyjeżdżając, muszą płacić do oddalonego dworca podwójną taksę dorożek; że biedacy, idący pieszo, są napadani i obdzierani w pustkowiu około banhofu — czy to wszystko opowiedziano na zjeździe i czy tę wspaniałą reformę jej twórcy zamierzają nadal zachować?

Dyspensa.

Kuryer Codzienny posiada małą ambonkę, z której co wieczór wygłasza krótkie kazania przeciwko niesumienności, klikom, lekceważeniu cudzej pracy i innym grzechom życia publicznego. I ten sam *Kuryer Codzienny* w swych przeglądach prasy stale przemilcza o *Prawdzie*, chociaż zaznacza nawet, że jakiś inny organ „nie zabrał głosu“ w jakimś przedmiocie, a gdy musi o niej mówić, to ją nazywa „jednem z pism.“ Nie chodzi nam o siebie: już mieliśmy czas zdobyć się na wyrozumiałą pogardę i przywyknąć do przeróżnych mizernotek naszego otoczenia dziennikarskiego, do jego przeciw nam zabiegów, do stałego tajenia przed ogółem naszych zasad, poglądów i wydawnictw, nawet do rabowanie naszych myśli, które niby kradzione owce po należytem ostrzyżeniu i ostemplowaniu wpuszczano do swoich stad. Ale żal nam sympatycznego skądinąd *Kuryera Codziennego*, który krztusi się, męczy, odgrywa baletniczo-mimiczne sceny i robi głucho-nieme ruchy, gdy musi wymówić wyraz „Prawda.“ Otóż pragniemy go raz na zawsze nieograniczoną dyspensą uwolnić od tej wewnętrznej walki. Niech w dalszym ciągu, podając treść „tygodników,“ wykreśla nas z ich listy, a ile razy nie będzie mógł ominąć konieczności wspomnienia o jakiejś naszej myśli, niech poprostu napisze: „Ben Akiba powiedział..“ Nie będziemy mieli o to żadnej pretensyi.

Wystawa elektrotechniczna.

Dojdzie do skutku, czy nie dojdzie? oto dwa pytania, powtarzane na łamach naszych pism codziennych, jak do tej pory, bez żadnego rezultatu pozytywnego.

„Filharmonia“ chce koniecznie wystawy, Delegacya elektrotechniczna oświadczyła się w zasadzie przeciwko niej, jako przedsięwzięciu nie na czasie wobec postanowionej już wystawy krajowej na rok przyszły, mającej objąć wszystkie działy pracy ludzkiej na naszej ziemi.

Gdyby nie fakt, że dochód z wystawy miał w części być przeznaczony na rzecz „Pogotowia Ratunkowego“, tej chluby warszawskiej, to zapewne kupieckie pomysły instytucyi muzycznej nie znalazłyby najmniejszego poparcia ze strony społeczeństwa; obecnie stoimy na rozdrożu, jak ongi Herkules i nie wiemy, w którą zwrócić się stronę, tembardziej że sprawa nie została jeszcze ostatecznie postanowiona i że o zupełnem zaniechaniu projektu mowy być nie może.

I tak źle i tak niedobrze. W każdym razie, spokojnie i trzeźwo na rzecz patrząc, należałoby koniecznie wystawy zaniechać, a to z tej prostej przyczyny, że wobec opinii Delegacyi Elektrotechnicznej komitet wystawy nie może zgoła liczyć na siły fachowe, muzycy zaś i lekarze pomimo najszczerszych chęci na pewno wystawy specyalnej dobrze nie urządzą.

Nie możemy zaś ani przez chwilę przypuszczać, aby pomysłowość nasza była taka mała, a zarząd „Filharmonii“ nie mógł wygotować innego planu dochodowego na miesiące letnie, lub zarząd „Pogotowia“ nie znalazł innego sposobu pomnożenia swych funduszów, tem bardziej, że społeczeństwo pożyteczność tej instytucyi zawsze uznaje i nigdy jej swej pomocy nie odmawia.

BADANIA NAUKOWE.

Majaczenia metafizyczne.

Dr. Otto Weininger: *Płeć i charakter.*

Rozwój potężny wiedzy naukowej sprawił, że psychologia nowożytna, zerwawszy z tradycyą zapleśniałą, opuściła nazawsze manowce spekulacyj metafizycznych i zajęła miejsce właściwe wśród nauk przyrodniczych. Zajmując się badaniem odrębnego działu zjawisk, nazywanych psychicznemi lub duchowemi, bada te, które są dostępne dla postrzeżenia i doświadczenia.

Z takiem stanowiskiem psychologii nie mógł się pogodzić dr. Otto Weininger, autor książki p. t.: „Geschlecht und Charakter“ (Eine prinzipielle Untersuchung. Wien und Leipzig, 1903) ciekawej ze względu na wielki talent i nadzwyczajność wielu poglądów autora. Urąga on psychologii nowożytnej i twierdzi: „Psychologia współczesna, szczycąca się tem, że się obchodzi bez duszy — jest psychologią *kobiecą*.“

W październiku roku ubiegłego, w kilka miesięcy niespełna po napisaniu książki, odebrał sobie życie jej autor w Wiedniu, w domu, w którym umarł Beethoven. Kula rewolwerowa unicestwiła myśl rozhukaną, nurzającą się w odmętach spekulacyj, aby wyłonić z nich, ze zręcznością niepospolitą, mnóstwo paradoksów zuchwałych. Wątpić się godzi, czy książka przeżyje autora, chociażby się nią zachwycał niejeden jeszcze mizogyn, naśladując Strindberga. Jest ona płodem umysłu o kulturze niepowszedniej — umysłu olśniewającego nawet błyskotliwością erudycyi wielostronnej, zdumiewająco niezwykłej u 23-letniego młodzieńca. Lecz, niestety, był to zarazem umysł niezrównoważony, skłonny do odurzania się wyziewami niezdrowymi mistycyzmu, a przedewszystkiem odwracający się wzgardliwie od myśli naukowej. Gardząc psychologią współczesną, w niecierpliwości swej poszukuje on uogólnień, których uzasadnieniem niemal jedynem jest: sic volo, sic jubeo!“ Nie trudno chyba wyrokować, jaką wartość posiadać może przędza wniosków, z uogólnień takich wysnuta.

Potępienie kobiety głoszono już nieraz, a więc pomysł zasadniczy Weiningera nie nosi na sobie bynajmniej piętna nowości. Rozwijając pomysły nienowe, wypadało obryzgać je barwami przesadnie jaskrawemi. Nie szczędzi też barw tych autor. Nie woła już do każdej niegodziwości, do każdego bezeceństwa, do każdej ohydy: „twoje imię jest kobieta!“ Byłoby to zbyt mało. Dla Weiningera kobieta nie może być ani zła, ani niemoralna, bo jest to istota pozbawiona wszelkiego poczucia moralności, istota *amoralna*.

Na podobieństwo fizyka, budującego w umyśle swoim gaz idealny, ulegający prawu Gay-Lussaca, buduje Weininger idealny pierwowzór kobiety, który znajdzie się na biegunie przeciwległym również idealnego pierwowzoru mężczyzny. Konstrukcyę swoją oparł autor na rusztowaniu, skleconem z przeżytków, zaczerpniętych z najrozmaitszych układów metafizycznych. Materyału dostarczyła kobieta, brana z życia, z literatury i z... kliniki chorób nerwowych.

Ta budowa doprowadza autora do pomysłu niewątpliwie już oryginalnego. Oznaką pierwszorzędną płci, pod wzglę-

dem psychologicznym, jest dusza nieśmiertelna. Posiada ją jednak tylko mężczyzna; kobieta duszy nie ma, nie odczuwa nawet potrzeby nieśmiertelności. Dokoła uogólnienia tego wiruje treść książki całej, poważnie grubej. Z niego wypływają twierdzenia najdziksze, rzekomo filozoficzne. Wpadając często w sprzeczności, autor nie dostrzega ich wcale lub też wygładza je paradoksem zręcznym.

Pozbawiwszy kobietę duszy nieśmiertelnej, pozbawia ją oczywiście wszystkich żądz, wszystkich uczuć, duszy tej przez siebie przypisywanych. Nie oszczędza nawet wymówki Schopenhauerowi, mistrzowi swemu do pewnego stopnia, za to, że przyznawał kobiecie uczucie litości. Jak gdyby sam nie posiadał ani krzty tego uczucia, ogołocił Weininger kobietę ze wszystkiego, pozostawiwszy jej tylko płciowość. Ponieważ jednak płciowość ujawnia się jedynie w pewnym okresie życia, a zatem cechą najstalszą kobiety jest rajfurstwo, trwające od dzieciństwa do późnej starości. W stręczycielstwie tkwi, zdaniem Weiningera, istota kobiety.

Pierwowzory zupełnego mężczyzny i zupełnej kobiety, zbudowane w ten sposób, stają się niby ideami Platona. W pierwowzory te wciela pierwiastki dobra i zła, mistycznie pojęte. Wszystko, co wzniosłe i piękne — jest męzkie; wszystko, co poziome i szkaradne — jest kobiece. Nie mógł przecie Weininger przeoczyć, że w życiu, jak w Królu Learze, obok Regan i Goneryl, zdarzają się także i Kordelie. Wybrnął z tej sprzeczności, stosując się do przysłowia ludowego, włoskiego, radzącego: „mettere la coda dove non va il capo“. Z kłopotu wybawiają go „stopnie przejściowe.“

W części pierwszej swej książki, nazwanej biologiczno psychologiczną, przynosi Weininger, z krótkiej wycieczki w dziedzinę biologii, to, co mu jest potrzebnem. Morfologia poucza, że gruczoły płciowe, stanowiące oznakę pierwszorzędną płci, znajdują się u osobników płci odmiennej w postaci tak zwanych narządów szczątkowych. Nadto oznaki płciowe drugorzędne pojawiają się w stopniach rozmaitych u osobników obu płci. Tym sposobem mieszają się oznaki płciowe: zdarzają się kobiety z głosem bardzo nizkim, posiadające zarost na twarzy itp.

Zjawisko to można przenieść do charakterologii obu płci i wykazać, że istnieją mężczyźni, w których charakterze objawiają się właściwości kobiece, i kobiety o charakterze męzkim. Tym sposobem linie graniczne między pierwowzorami idealnymi mężczyzny i kobiety wypełnia ilość nieskończona stopni przejściowych. Ludzkość cała składa się z mieszaniny dwu pierwiastków, męzkiego i kobiecego, utożsamionych przez Weiningera z pierwiastkami zła i dobra.

Teraz wszystko już tłomaczy się doskonale. Mężczyzna o tyle jest więcej wart, o ile mniej posiada pierwiastku kobiecego. Objaśnia to Weininger przykładami licznymi, nie gardząc nawet bardzo jaskrawymi, zaczerpniętymi z dziedziny psychopatyi płciowej.

Mieszanina różnych ilości pierwiastku męzkiego i żeńskiego wytwarza nietylko różnice indywidualne, ale wytłacza piętno na całych epokach. W epoce współczesnej dostrzega Weininger z żalem rozwielmożenie się pierwiastku kobiecego. Rozwielmożeniem tem tłomaczy zjawiska etyczne i estetyczne, np. upodobanie malarstwa secesyjnego do wązkich bioder itd.

Jednakże zasadę stopni przejściowych, tego rumaka, na którym Weininger z rozkoszą hasa po błoniach spekulacyi, należy przyjmować z pewnem zastrzeżeniem. Kobieta, posiadająca nawet niezwykle dużą dozę pierwiastku męzkiego, niema przecież duszy nieśmiertelnej. A więc, kobieta o wielce przerastająca wszystkie inne, stoi zawsze nieskończenie niżej od mężczyzny najnędzniejszego. Wypowiada to jeszcze Weininger w języku własnym, mówiąc, że mężczyzna jest formą, a kobieta jest materyą, jest niczem! Mężczyzna może się stać tylko tem - czem jest; kobieta zaś wszystkiem— bo jest niczem.

Do bigosu tego dołączył autor rozdział, pozostający w związku dość luźnym z resztą książki. Mówi w nim o „Żydowstwie“ (na str. 406 autor zaznacza w dopisku, że sam jest pochodzenia żydowskiego) o żydowstwie, które rozważa nie jako naród, rasę lub wyznanie, lecz jako ideę Platona. W żydowstwie, tak złożonem, upatruje przewagę olbrzymią pierwiastku kobiecego: daje mu to sposobność do odmówienia geniuszu Spinozie, którego nie uznaje. Zdaniem Weiningera jedynym geniuszem wśród Żydów był ten, który pokonał w sobie całkowicie Żyda. Był nim Chrystus! Nawiasem mówiąc, ton książki całej może nasuwać przypuszczenie, że siebie uważał Weininger za drugiego.

Na zakończenie obdarza nas autor wywodami ostatecznymi. Cóż należy zrobić z kobietą, „tą siostrą kwiatów,“ której nie można przecie zupełnie wykreślić z rodzaju *homo sapiens?* Co należy uczynić, by to, co jest „niczem,“ mogło się stać wszystkiem, chociaż pozbawionem duszy?

Trzeba, żeby kobieta zabiła w sobie *kobietę.* Do tego powinien jej dopomódz mężczyzna, unicestwiając w sobie pierwiastek kobiecy. Osiągnąć to może, pogardziwszy wstrętną Weiningerowi „etyką gatunku.“ W samoušwięceniu, w czystości, w ascezie tkwią wskazywane za przykładem Buddy, prowadzące ku temu środki. Tym sposobem ludzkość rozproszy się w mgłach metafizycznych.

Ci, którzy nie zechcą posłuchać rad Weiningera, skazani będą na pełzanie wieczne po tym padole „kobiecości“!

Tak więc roztacza przed nami autor zasłonę czarną pesymizmu. Tę zasłonę przymocował do swego układu — kulą rewolwerową *).

Szczerze żałować należy talentu, wyzierającego z tej całej elukubracyi; pod jednym wszakże względem jest ona pouczająca: jako dowód znamienny, na jakie bezdroża zaprowadzić może myśl pozornie filozoficzna, wyjarzmiająca się z pod kierunku naukowego. Jakiż bowiem był cel ostateczny jej autora? Chciał poniżyć i podeptać naukę, marząc o przywróceniu filozofii stanowisk utraconych niepowrotnie, z których wyparły ją i które słusznie zajęły różne gałęzie nauki. Spóźnił się ten maruder metafizyki, ten obrońca nieproszony a niefortunny dawnych stanowisk filozofii. Obrony takiej filozofia nie pragnie zgoła; zresztą, „już ta bogini zbladłe odwraca jagody, ujrzawszy nimfę ziemską celniejszej urody.“ Nie uwłacza to bynajmniej zbladłej bogini.

Był czas, że filozofia, poprzedzając i wyprzedzając naukę, niby słup gorejący prowadziła ludzkość przez gąszcze mroczne i ciernistе zagadnień bytu. Filozofia wypiastowała też w pewnej mierze naukę. Lecz pisklę, niegdyś słabe, stało się orłem potężnym, zdolnym do lotu samodzielnego w bezmiarze przestrzennym.

Zmieniły się poniekąd role: filozofia stała się teoryą nauki, krytyką jej metod. Nauka o tem nie zapomina i z wdzięcznością należną ogląda się zawsze na siostrzycę swą starszą — filozofię. Ta dostojna staruszka winna znów pamiętać, że nie może kroku postąpić, nie opierając się na potężnem ramieniu nauki.

*) Już po śmierci Weiningera jeden z przyjaciół zmarłego wydał zbiór jego aforyzmów, których pojawienia się nawet oryginalnością myśli autora usprawiedliwić nie można.

W zuchwalstwie obłędnem zapragnął Weininger obniżyć znaczenie nauki, usiłując zepchnąć z tronu geniuszów Kopernika, Newtona, Darwina, Helmholtza. Usiłowania to śmieszne i niedołężne. Wespół z Weiningerem zginamy ochotnie kolano przed Platonem, Leibnitzem i Kantem, lecz dla innych względów. Probierzem genialności tych olbrzymów myśli nie są bynajmniej pomysły bytów transcendentnych (jak mniema Weininger), chociaż posiadają one niezaprzeczoną doniosłość historyczną. Nie godzi się chyba wątpić, że teraz żaden pomysł, rzeczywiście filozoficzny, nie narodzi się zdala od pracowni naukowych, u których drzwi straż zaszczytną pełni filozofia, przedziwnie odmłodzona cudownym eliksirem krytycyzmu. Zaiste, wszystko jedno, czy to będzie pracownia chemii, czy też psychologii. O tem mógł wiedzieć Weininger, lecz wiedzieć nie chciał. Dla nieszczęsnego młodzieńca, apostołującego z zaślepieniem wsteczników, można mieć tylko przebaczenie litości. Psychologia może go wytłomaczyć.

A jednak... podobno nakład całkowity książki „Płeć i charakter“ został już wyczerpany!.. Snać nie umilkło jeszcze echo kwiku o bankructwie nauki.

Dr. Jan Biron.

STULECIE KANTA.

Po Arystotelesie, żaden chyba filozof nie zyskał tak wielkiego znaczenia i nie wywarł na rozwój myśli ludzkiej tak głębokiego wpływu, jak E. Kant, którego setną rocznicę śmierci (12 lutego 1804 r.) uczczono w całym świecie uroczystem wspomnieniem. Warunki umysłowe XIX w. nie sprzyjały już wytworzeniu się przymusowego, prawem i religią zabezpieczonego kultu pod imieniem tego mędrca, ale niejeden objaw jego chwały przypomina średniowieczną uległość powadze genialnego Stagiryty. Kant jest dotąd albo ostatnią instancyą w wielu sprawach filozofii, albo przynajmniej instancyą, przez którą każde z nich przejść musi. Wątpimy, czy znalazłby się autor w tej dziedzinie, któryby go ominął i nie złożył mu hołdu w swej pracy.

Główne zasady systematu Kanta zarówno te, które dotyczą poznania, jak te, które odnoszą się do etyki, wchodzą już w skład wiedzy wykształconego ogółu; okolicznościowy więc ich wykład już niepotrzebny zwłaszcza czytelnikom *Prawdy*, którzy niedawno otrzymali w dodatku „Historyę filozofii“ Kirchnera. Tam mogą oni zadowolić swą ciekawość lub dopełnić szczegółami swoją znajomość teoryi „czystego i praktycznego rozumu“. Zaznaczyć tylko należy, że Kant oddziałał również na słabiuchną myśl filozoficzną u nas. Rozmiary tego wpływu wykazał wielokrotnie prof. Struve, a obecnie we Lwowie prof. Chmielowski. Przyjęliśmy w nim bardzo skromny udział, ale przyjęliśmy—i od nas przeto należy się wyraz wdzięczności dla wielkiego myśliciela w setną rocznicę jego zgonu.

LITERATURA I SZTUKA.

POPIOŁY.

Pisać o „Popiołach“!.. chcieć wypowiedzieć wszystko, co się nasuwa na myśl, to znaczy dotknąć tysiąca przedmiotów, skąpać się w morzu zagadnień, odbyć długie wędrówki po obszarach

i tajemniczych ostępach duszy człowieczej, dać pojęcie o przecudnych obrazach natury, tę naturę złączyć z ludźmi, z ich czynami i miłością, skąpaną w lazurze i promieniach słońca, miłością rozkoszną i bolesną, przesyconą blaskami zórz i omroczoną posępnym kirem śmierci, duszącą pożarem namiętności i rozkwieconą szczęściem zaświatowem, opowiedzieć o zgiełku wojny i krwawych bojach, o całym szeregu zdarzeń i wypadków, potrącić o kilkadziesiąt scen, które nazawsze utrwaliły się w pamięci i dopiero na tem wiązaniu ukazać most myśli, zrodzonych niekiedy, niby w proroczem widzeniu, a niknących, hen, hen, w perspektywie nieskończoności. Chaos i chaos... Jedne obrazy przesłaniają drugie, jeden szczegół przypomina sto innych, żadnego ugrupowania materyału, zupełne zaniedbanie „konstrukcyi,“ słowem, nic i nic, co pozwoliłoby wybrać „najcenniejsze klejnoty,“ zawarte w olbrzymim skarbcu myśli, jakim, są „Popioły.“ Żeromski źle zbudował swój poemat prozą. A w tem „źle“ tkwi piękno i wielkie, świadome poczucie siły, która nie liczy się z wymaganiami teoryi, wypowiedzianemi przed dziesiątkami lat, a rzekomo do dziś dnia obowiązującemi talenty twórcze. Tak, budowa „Popiołów“ jest zupełnie dowolna, powiedziałbym, przypadkowa, rozdziały powieści często treścią nie łączą się ze sobą, niekiedy nawet są wprost epizodami, niezwiązanymi organicznie z całością, ale te rozdziały łączy coś silniejszego, trwalszego od najpyszniejszej i najlepiej pomyślanej „budowy“: łączy je piękno. Dlatego też żaden z nich nie jest zbyteczny. Żeromski tworzy świadomie, nie rozprasza się i nie gubi, ale myślami jego steruje wicher natchnienia i jak wicher je niesie. I cóż dziwnego, że w ogniu twórczym topnieją lodowate mury więzienia, zwanego rutyną, a myśl, wyswobodzona z więzów szablonu, płynie szlakami swobody i buja w niezmierzonych przestworzach...

Już pierwsze stronice „Popiołów“ przykuwają uwagę, a ta wzmaga się w miarę czytania, dochodzi chwilami do najwyższych szczytów naprężenia, opada czasem, gdy autorowi spodoba się zmienić przedmiot i znowu skupia, rośnie, tężeje i tak dalej i dalej, bez przystanku i bez wytchnienia, aż do ostatniej stronicy.

Po raz drugi biorę książkę do ręki i przerzucam kartę za kartą. Znowu przebiegam te olbrzymie obszary treści, tonę w uroczych obrazach natury, przenikam wraz z autorem dusze ludzkie, przypominam sobie najdrobniejsze szczegóły i zwolna dochodzę znowu do tych miejsc, w których talent Żeromskiego największe święci tryumfy. Mam tu na myśli miłość, budzącą się w sercu Rafała Olbromskiego, jej rozwój, jej żywiołową potęgę, dalej wszystkie chwile, które bohater przeżywa, chwile, tętniące nadmiarem uczuć, huczące orkanem rozszalałych myśli, nęcące rozkosznemi wizyami lub zamieniające się w zastygłą rozpacz, ból, wściekłość. Podziwiam ten bajeczny przepych i przemożne bogactwo duszy, aby za chwilę z zapartym oddechem śledzić szaloną jazdę Rafała wierzchem, śród mroków nieprzejrzajnej nocy, przez zaspy śnieżne, jazdę do marzeń, upojenia i szczęścia. A potem powrót do domu, śród ryku burzy zimowej, odtworzonej z niesłychaną mocą:

„...Dokoła wrzała rozpętana burza. Całe pole, skroś którego leciał, zrywało się, jak oszalałe jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i nakształt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, po nad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie, jak kupa piasku. Wicher dął zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś szczelin ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłędów białawych wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawieji, ryk zdławiony, jakoby przez pętlicę z rzemienia wybuchały niewiadome siły, schwytały się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciało. Sniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, że zduszone gardła charczą i wyrzygują krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę...

Poczem groza położenia zasłania wspaniały obraz. Straszna pogoń wilków, walka Rafała z rozjuszonym zwierzem i dalsze sceny, wstrząsające do głębi, rozpraszają wszelki krytycyzm, który bezradny pierzcha, jak słup dymu, gdy wicher weń uderzy...

Czytam dalej i dochodzę do jednego z najpiękniejszych ustępów książki, do dziejów miłości Rafała i Heleny. A dzieje te są, jako sen złoty, śniony w marzeniu obłocznem, jako baśń tęczowa, poczęta w nadziemskim uniesieniu, są, jako kwiat wonny, perlący się rosą najsubtelniejszych uczuć, jako głąb zawrotna, ciągnąca ku sobie nieznanym i poraz pierwszy wskazanym urokiem, głąb pełna czaru i dziwów tajemniczych. W tę głąb bezdenną pada czasami kilka wielkich, natchnionych słów poety, pada jak świetlany snop iskier i wtedy zdumionym oczom ukazują się całe krainy, i lądy, i morza, których nikt dotąd nie ośmielił się wskazać. Ludzie, ich uczucia, ich rozkochane w sobie dusze, góry, doliny, łąki i gaje, zlewają się ze sobą, przenikają wzajem i łączą w pieśń nad pieśń królewską, potężną, jedyną w swojej niezrównanej harmonii, w jakiś „hymn święty, na w który w mowie ludzkiej niema słów.“ Znika rzeczywistość, poczucie czasu, miejsca i przestrzeni — stajemy u progu wieczności, zaczynamy ją przenikać, rozumieć.

I znowu inne obrazy, nowe drogi, wiodące do najtajniejszych kryjówek duszy, nowe światy i wzruszenia nowe... Stajemy wreszcie w pożodze i ogniu wojny, słyszymy huk dział, patrzymy na ciągłe utarczki, na boje, walki, na śmierć... Następuje oblężenie Saragossy, krwawe rzezie na dymiących krwią ulicach miasta, zdobywanie zabarykadowanych domów, historya gwałtu i mordów, krwawa, okrutna historya bólów, rozpaczy, nadludzkich wysiłków, bohaterstwa i śmierci.

A w tym przeogromnym łańcuchu zdarzeń, scen i wypadków, niemal każde ogniwo obejmuje dalekie, dalekie widnokręgi i przytłacza swoim ogromem.

Rafał Olbromski, książę Gintułt i Krzysztof Cedro — to trzej bohaterowie „Popiołów,“ trzy nowe światy, po raz pierwszy wprowadzone do królestwa sztuki. Obok nich widzimy całą galeryę osób, w której każdy portret ma swój własny wyraz i własną indywidualność. Te postacie epizodyczne, często raz jeden, na krótką chwilę zajmujące uwagę czytelnika, odmalowane są z wielką plastyką i najczęściej nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do swojej fizyognomii duchowej. Żeromski, gdy mu się podoba, umie w kilku słowach zawrzeć ogrom treści. Wymownie świadczy o tem, choćby pierwszy rozdział „Popiołów.“ Zawzięty o nieugiętym charakterze szlachcic Nardzewski, chytry strzelec Kacper, a nawet komisarz Hibl ze swoim taktem i godnością urzędniczą — to posągi skończone, wyrąbane kilkoma śmiałymi ciosami dłuta. Legiony osób przesuwają się przed naszemi oczyma, a prawie wszystkie naznaczone jakimś znamiennym rysem. Ojciec Rafała, Jarzymski, wachmistrz Gajkoś, Michcik, pedel szkolny Filip i tylu innych — wszystko to ludzie z ciała, krwi i kości. Poznajemy ich odrazu, jednym rzutem oka ogarniamy ich wartość wewnętrzną. O wiele trudniej przeniknąć i określić bohaterów. Dusze ich pogłębiające się niekiedy i rozszerzone do ledwo objętych miarą myśli granic, nie istnieją samoistnie, jako odrębne i zamknięte w sobie całości, lecz zespalają się z otoczeniem, wchłaniają w siebie życie zewnętrzne i w życiu tem często się roztapiają. Żeromski daje w nich syntezy najróżnorodniejszych stanów i przejawów, lecz wiązanie, które przejawy te łączy w skończoną całość, pozostawia w mroku. Czasami tylko, niby od niechcenia rzuci kilka słów, które jak błyskawica oświetlają ukryte dla oczu pieczary i tajniki ducha.

Oto np. kapitan Wyganowski, napozór okrutnik i szyderca, drwiący z gwałtów rozbestwionego żołdactwa nad bezbronnemi mniszkami, nosi jednak w duszy cały poemat, przejmujący, a rzewny, jak łzy matki nad trupem dziecięcia. Ten okrutnik i szyderca nad ciałem zakonnicy, która śmiercią uratowała się od hańby, szepcze w zapamiętaniu:

„— O zakonnico, zakonnico! Gdybym był pierwszym władcą plemienia, które cię wydało, imieniem twojem nazwałbym miasto, kraj mój, ziemię całą! Z osoby twej uczyniłbym herb narodu i pieczęć państwa. Kazałbym swoim armiom defilować przed twoim trupem z rozwiniętymi sztandarami...“

A potem:

„...Zeszedł wreszcie na dół Wyganowski. Kiedy spotkali się u drzwi, Cedro wziął go za rękę. Przycisnął ją do piersi, nie wiedząc, że to uczynił. Kapitan spojrzał na niego z pod oka, nieufnie, półszyderczo, jak to było w jego zwyczaju. Nagle zaszlochał bez uronienia łzy, krótko i skrycie...“

Oto, jak Żeromski odsłania rąbek tajemniczej zasłony, pokrywającej dusze ludzkie. Dzięki temu bez wysiłku rozumiemy takiego szlachetnego i smutnego marzyciela, jak Piotr Olbromski, człowieka-orła Sułkowskiego, majora de With, Trepkę i innych. Ale autor niezawsze „pomaga“ czytelnikowi.

(D. n.).

Artur Śliwiński.

Notatki literackie i artystyczne.

MEDYCYNA i HYGIENA. Dr. M. Themerson: „Małżeństwo w świetle hygieny,“ nakł. F. Pauli Płock.

— Dr. W. Popiel: „Poradnik dla mężatek i matek,“ Warsz. Sp. wyd.

— Ber. Staffe: „Piękność i zdrowie,“ praktyczne rady i przepisy dla kobiet. Tłom. z franc., nakład Gebethnera i Wolffa.

FILOZOFIA. J. Kurnatowski: „Nietzsche,“ studya i tłomaczenia. Łódź, Rychliński i Wegner.

— J. Mastelski: „Filozofia przyrody,“ cz. V. Skł. u Wendego i Sp.

— F. Tonnies: „Tomasz Hobbes, życie jego i nauka,“ przekł. z niem. L. Karpińskiej, wyd. „Przegl. Filozof.,“ skład u Wendego i Sp.

PSYCHOLOGIA. Fr. Tracy: „Wiek dziecięcy,“ z V wyd. ang. przeł. K. Król.

— E. Durkheim: „Próba oświetlenia zjawisk religijnych,“ tłom. S. Brzozowski. Biblioteka samokształcenia.

SZTUKA. L. Lihonis: „Styl w sztuce czystej i stosowanej“ (gotycki, japoński, cesarstwa), objaśnienia i rysunki. Ks. Fiszera.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH ks. Arcta:

— J. Moszczeńska: „Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna“ — 17 kop.

— F. Lempke: „Kłamstwo,“ trak. ped. dla użytku rodziców i nauczycieli“ — 10 kop.

— S. Brzozowski: „S. Wyspiański“ — 20 kop.

— M. Offmański: „Grunwald“ monografia hist — 20 kop.

— A. Szycówna: „Jak badać umysł dziecka“ — 20 kop.

— Dr. J. Drzewiecki: „Mięso czy pokarmy roślinne“ — 10 kop.

— Dr. A. Biernacki: „O prędkości światła,“ 10 k.

— „Starożytna Grecya i jej urządzenia,“ 20 k.

— Dr. T. Dunin: „Suchoty płuc,“ odczyt — 10 k.

— J. Moszczeńska: „Reformy w wychowaniu moralnem.“

— Dr. M. Vögtlein: „Pielęgnowanie dziecka w pierwszym roku życia,“ spolszczył dr. Z. Szymanowski.

— W. Krakowski: „Nowa Zelandya, Bibl. społecz.,“ nakł. Ks. Naukowej — 20 k.

— M. Stępowski: „O studyach farmaceutycznych i stosunkach zawodowych w Szwajcaryi.“

— A. J. Wiśniakowski: „Sekretarz polski," wzory listów prywatnych, handlowych, kwitów, rewersów, świadectw, plenipotencyj itp. Nakł. J. Fiszera.

— M. Rościszewski: „Pani domu," skarbiec porad praktycznych dla Polek wszystkich stanów. Nakład A. Dubowskiego.

— J. B. Dale: „Chiromancya indyjska," wróżenie z ręki, przekł. W. Szukiewicza. J. Fiszer.

NA MARGINESIE.

Lekarz przyszłości. Pod tym tytułem dr. Héricourt pomieścił w nr. 4 *La Revue* zajmującą sylwetkę lekarza, jakim on będzie kiedyś niezawodnie, i dał obraz jego czynności i obowiązków, związanych z tem nowem jego stanowiskiem w społeczeństwie...

Głownem zadaniem lekarza przyszłości będzie nie leczyć, lecz zapobiegać chorobom, dlatego winien on znać dobrze organizm i życie swoich pacyentów, widywać ich często, aby módz dostrzedz pod pozorami zdrowia zaczynające już kiełkować a dla zwyczajnego oka jeszcze nieuchwytne objawy choroby. W obecnych warunkach taka czujność jest wprost niemożliwa, lekarze nie są do niej przyzwyczajeni, a zdrowi nie uznają jej potrzeby, dopóki choroba — zło ostateczne, z nóg ich nie zwali; wówczas wzywa się lekarza, często człowieka zupełnie obcego.

Obecny stosunek lekarza do społeczeństwa nazywa dr. Hericourt niemoralnym. Jest istotnie coś potwornego w tej konieczności oparcia bytu swego na cudzej niedoli. Żyć jednak lekarz, jak każdy człowiek, z czegoś musi. Więc należy odwrócić stosunek jego do rzeczy: niech źródłem jego utrzymania stanie się zdrowie. Dr. H. utrzymuje, że takiem właśnie będzie stanowisko lekarza przyszłości. Mając sobie zapewnioną stałą, roczną pensyę czy od osoby, czy od rodziny, będzie on widział, pominąwszy wszystko inne, własny interes w niedopuszczeniu choroby do pozostających pod jego opieką jednostek. W Chinach — powiada dr. H. — panuje zwyczaj taki właśnie. Każdy tam ma stałego lekarza, pobierającego stałą, dzienną pensyę, którą jednak wypłacać mu przestają z chwilą, gdy pacyent zachoruje; wówczas obowiązany jest leczyć darmo, i można sobie wyobrazić, jak się spieszy z naprawieniem złego, którego jego niedbalstwo stało się powodem. Właściwe stanowisko hygienistów mają dziś u nas tylko lekarze wojskowi, mogliby je mieć lekarze fabryczni, gdyby chcieli zrozumieć i należycie spełniać swe zadanie. Ale nadewszystko hygienistą powinien być lekarz szkolny. Na kongresie „hygieny szkolnej i pedagogii fizyologicznej" w listopadzie 1903 r. dr. Legendre dał szeroki obraz działalności i obowiązków lekarza w szkole. Przedewszystkiem powinien on prowadzić księgę kontroli, w której każdy uczeń miałby swoją kartę dla systematycznego notowania wszelkich właściwości i chorobliwych objawów jego organizmu. Takie notatki, prowadzone przez samego lekarza i jemu jedynie znane, dostarczyłyby niewątpliwie właściwych wskazówek dla stosowania odpowiednich zarządzeń zdrowotnych w zakładzie. Wielce bacznym powinien być również lekarz na stan skóry i błon śluzowych u uczniów; sprawdzać i kontrolować przy pomocy nauczycieli dozorujących używanie szczotek do włosów, zębów i paznokci; czuwać nad odżywianiem, zaglądając nierzadko do kuchni; mieć oko nad kierunkiem ćwiczeń fizycznych, których wpływ tak wielce znaczy zarówno dla rozwoju ciała, jak umysłu i moralności — jednem słowem być wciąż na straży, żyć życiem szkoły, jej oddać swój czas i myśli. Może kiedyś tego rodzaju idealne obrazki staną się powszednością, daleko wszakże do tego jeszcze. I ludzie i rzeczy i stosunki muszą się wpierw zmienić do gruntu.

Przeklęty gorset. Dr. Arabella Kenealy wystąpiła w *Nineteenth Century* z piorunującym artykułem przeciwko zwyczajowi noszenia gorsetu przez kobiety, ogarniającemu dziś wszystkie warstwy ludności. Jemu wyłącznie przypisuje ona powszechny upadek sił i zdrowia wśród dziewcząt. Od rana wdziewa takie młode stworzenie pancerz ze stali i fiszbinu — mówi ona — który uciska organy wewnętrzne, a wskutek tego odbiera apetyt, często wywołuje nudności, przeszkadzając dostatecznemu odżywianiu się sił młodych i potrzebujących energicznego odnawiania. Tymczasem żołądek ściśnięty nietylko mało pokarmu przyjąć może, ale przyjęty źle trawi, czego naturalnem następstwem bywa biedna krew i chore nerwy.

Nie koniec na tem: gorset przeszkadza prawidłowemu działaniu wątroby, tamuje swobodny obieg krwi, spowodowywa skurczenie się płuc i ogólne zwątlenie tkanek, zanik mięśni brzusznych, wskutek czego z biegiem lat ciało kobiety zatraca kształty naturalne i staje się często masą potwornie nieestetyczną. W dalszym ciągu wywodów swoich bezlitosna dr. A. Kenealy mówi:

„Jak ciśnie gorset, można sprawdzić, zmierzywszy grubość w pasie dorosłej kobiety: choć wszystkie organa zewnętrzne rozszerzają się, ona napewno będzie cieńszą od 12-letniej dziewczyny. Jeśli zaś w ciągu kilku miesięcy nie włoży gorsetu, jej objętość w pasie powiększy się o 5—7 cali. Normalna grubość kobiety w pasie przewyższa zwykłe grubość mężczyzny tego samego wzrostu i wagi o 2 cale. A jednak w gorsecie o ile zazwyczaj cieńszą bywa od niego! Suknia pokrywa wiele braków — mówi niemiłosierna dr. Arabella — i daje niejednej wygląd wcale miły. Lecz rozbierzmy którą, a fizyolog i artysta ręce z bólu załamią.

KRONIKA.

— Po ukończeniu wychodzącego obecnie w dodatku do *Prawdy* dzieła J. Simmel'a „Filozofia pieniądza" zaczniemy druk jednotomowej pracy amerykańskiego uczonego prof. Jamesa Marka Baldwina „Życie społeczne i moralne" (Das soziale and sittliche Leben) w tłomaczeniu dr. Kazimierza Kranza.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* donosi o powrocie z zagranicy licznego zastępu wychodźców tutejszych, których wydalono z fabryk niemieckich skutkiem ograniczenia wytwórczości.

— Zmarły niedawno August Zaborowski, inżynier, pozostawił w testamencie legaty: 1) rb. 2,000, od których procent ma być corocznie rozdawany najbiedniejszym w d. 3 lipca, jako w rocznicę śmierci jego córki Heleny; 2) łóżko wieczyste imienia tej córki w szpitalu dziecinnym przy ul. Aleksandrya w Warszawie: 3) rb. 5,000 na stypendyum przy szkole technicznej Wawelberga i Rotwanda; rb. 10,000 na stypendya w warszawskim instytucie politechnicznym dla młodzieży pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-[illegible]

— Gubernator podolski rozesłał do naczelników miast i starostów gubernialnych odezwę, wzywającą do narad nad organizacyą giełd pracy przy zarządach [illegible]

— *Finlandzkaja Gazeta* donosi: „Na rozkaz Najwyższy zaniechano rozpoczętego przeciw gubernatorom i innym wyższym urzędnikom śledztwa z powodu oskarżenia o zmuszanie gmin za pomocą kar do wyboru członków komisyj poborowych."

— *Warsz. Dn.* ogłasza sprawozdanie z działalności komitetów, utworzonych w celu niesienia pomocy ofiarom powodzi. W ostatnim kwartale rozdano: w gub. Kieleckiej włościanom powiatu Stopnickiego 15,667 rb., Miechowskiego 3,600 i Pińczowskiego 2,360 rb.; prócz tego 1,200 korcy zboża i kartofli; wsparcie to otrzymało 2,950 rodzin. Na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb powodzian do czasu przyszłych zbiorów, prócz środków posiadanych przez komitety kielecki gubernialny i powiatowe stopnicki, miechowski i pińczowski, potrzeba będzie jeszcze około 66,000 rb. dla rozdania 2,034 rodzinom, złożonym z 9,200 osób. W gub. Radomskiej w tym samym czasie rozdano 5,551 rb., a z tego 2,033 rb. wśród najbardziej potrzebujących z pow. Sandomierskiego. Prócz tego z lasów skarbowych wydano drzewa i gałęzi po połowie ceny za 6,768 rb., oraz 6 folwarkom pow. Sandomierskiego umorzono 429 rb. zaległych podatków i rozłożono na 10 lat 1,390 rb., a w pow. Opoczyńskim umorzono 936 rb.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty wyjaśniło, że mundurki wychowanic gimnazyów i progimnazyów nie są ustanowione przez prawo, naleganie więc o noszenie ich, zwłaszcza po za szkołą, nie powinno wychodzić z granic taktu pedagogicznego i dobrych stosunków z rodzicami i opiekunami uczennic.

— Ustanowiono specyalną komisyę dla opracowania nowego programu nauk w szkołach niedzielno-rzemieślniczych.

— Ministeryum oświaty poleciło zarządowi uniwersytetu warszawskiego zażądać od wszystkich stypendystów rządowych zobowiązań piśmiennych, że po ukończeniu kursu przesłużą określoną liczbę lat w instytucyach państwowych; w razie niezgodzenia się na to lub po wyjściu z uniwersytetu przed ukończeniem go, stypendyści powinni zwrócić skarbowi pobrane [illegible]

— *Kijew. Słowo* zawiadamia, że władze zgodziły się w zasadzie na założenie wyższych kursów dla kobiet w Kijowie, z wydziałami: historyczno filologicznym, fizyko-matematycznym z oddziałem nauk przyrodniczych, handlowym i agronomicznym. Otwarcie kursów nastąpić ma z początkiem przyszłego roku szkolnego; utrzymywać się one mają z własnych funduszów, na które składać się będą: opłata wpisowego oraz ofiary dobrowolne.

— W niższej szkole technicznej E. Święcimskiego zawieszone zostały zajęcia do czasu zatwierdzenia nowego [illegible]

Literatura i prasa. Ogłoszone zostały przepisy o księgarniach przy niższych szkołach rządowych. Zakładać je mogą: zarząd naukowy, ziemstwa, instytu-[illegible]szenia i osoby prywatne. Koszta założenia i utrzymania ponoszą założyciele, ministeryum oświaty może jednak dodawać zasiłki coroczne ze specyalnych funduszów gubernialnych na cele oświaty. Pozwolenie zaś wydaje gubernator na przedstawienie inspektora lub dyrektora szkół ludowych. Nie ponoszą one kosztów świadectwa przemysłowego i innych podatków. Księgarnią zarządza członek ciała pedagogicznego, pobierając za to, w miarę funduszów, pewne wynagrodzenie. W księgarniach tych mogą być sprzedawane tylko wydawnictwa i książki, zalecone przez ministeryum dla szkół niższych oraz bibliotek i czytelni ludowych bezpłatnych. Ogólny dozór spoczywa w ręku dyrektorów lub inspektorów szkół ludowych. Sprzedaż odbywa się tylko w godzinach pozaszkolnych. Gubernator może dopełniać niespodzianych rewizyj i zamykać księgarnie po ujawnieniu postępków szkodliwych dla spokoju i porządku publicznego.

Wiadomości naukowe. Dnia 27 b. m. rozpocznie się szereg odczytów na dochód Towarzystwa Osad rolnych, w których wezmą udział następujący prelegenci: St. Bełza: „Gdzie wygnańcem był Cezar"; Ignacy Chrzanowski: „Nastrój proroczy XVI wieku literatury polskiej"; dr. Aleksander Fabian: „O Wyspiańskim"; Kazimierz Gliński: „W ziemi pruskiej"; Gustaw Lewy: „Umowa najmu służby domowej"; Maryan Massonius: „Forma i technika w sztuce"; dr. Henryk Nusbaum: „Pamięć, jej znaczenie w umysłowości i w etyce"; Antoni Pilecki: „Przyroda i miłość w poezyi Maryi Konopnickiej"; S. Posner: „Krzywda i praca dzieci w świetle wskazań nauki społecznej"; Stef. Zembrzuski: „Międzynarodowe położenie Stolicy Apostolskiej." Odczyt pierwszy odbędzie się w sali Muzeum przem. i roln., następne w Ratuszowej.

— W Chrystyanii otworzona została z funduszów Nobla norweska biblioteka pokoju. Jednocześnie opracowano plan związania z biblioteką międzynarodowej akademii prawa ludów, która ma udzielać wyjaśnień w sporach międzynarodowych.

Kur. Warszawskiemu donoszą z Paryża: „Oddawna wśród młodzieży polskiej, studyującej za granicą, odczuwać się dawał brak prawidłowej organizacyi pracy naukowej. Otóż postanowiono obecnie temu zaradzić przez powołanie do życia „komisyi naukowej," której zadaniem jest dostarczanie wszystkim, zgłaszającym się do niej, możliwie szczegółowych informacyj z zakresu wszystkich dziedzin wiedzy, stanu

i organizacyi studyów na uniwersytetach zagranicznych, udzielanie pomocy w sporządzaniu rozpraw i referatów naukowych. Dla osiągnięcia tego celu komisya weszła w stosunki z przedstawicielami nauki polskiej, którzy obiecali jej swe łaskawe współdziałanie; gromadzić będzie u siebie wiadomości z bibliografii naukowej polskiej, niemieckiej i francuskiej, wreszcie służy pośrednictwem przy kupnie rabatowem dzieł naukowych w wymienionych językach. Adres stały komisyi: Société des étudiants polonais „Koło," 53 rue Monsieur le Prince, Paris. Dla komisyi naukowej."

— Setną rocznicę zgonu Imanuela Kanta obchodzono uroczyście d. 13 b. m. w uniwersytecie królewieckim i we Lwowie.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei zawiadomił, że nie należy pociągać do opłaty dodatkowej podróżnych, jadących w klasie wyższej za dwoma lub trzema biletami klas niższych, a nadto przy zamianie tych biletów, na właściwym powinna być zrobiona wzmianka, że bagaż oddano z ustanowionem ustęp-[illegible]

— Na kolei Syberyjskiej, od Irkucka na Wschód, zaprzestano przyjmować podróżnych.

— W październiku r. b. odbędzie się zjazd inżynierów kolejowych.

— Międzynarodowy zjazd kolejowy zwrócił uwagę, że podróżni nie użalają się na niedogodności, spowodowane zbyt wielką ilością pakunków innych pasażerów i polecił konduktorom, aby nie zabraniali zabierać rzeczy do wagonów, a baczyli tylko na należyte ich rozmieszczenie.

Sprawy ekonomiczne. *Ruś* donosi o zamiarze zupełnego zniesienia stanu kupieckiego i przelania wszystkich jego czynności do zarządu komitetów giełdowych.

— Mimo zgody ministeryum rolnictwa i dóbr państwa na rozszerzenie kredytu melioracyjnego w Królestwie Polskiem, sprawa ta wskutek braku pieniędzy zostaje odłożoną do czasu sprawdzenia użyteczności tego rodzaju urządzeń w innych guberniach.

— Zatwierdzoną została ustawa czwartego Towarzystwa wzajemnego kredytu dla dzielnicy wolskiej [illegible]

— Zatwierdzono ustawę instytucyi współdzielczej p. n. „Towarzystwo ulepszenia i budowy mieszkań," której kapitały tworzyć się będą z udziałów 25-rublowych.

— Senat rządzący wyjaśnił, że posiadacze placów targowych i jarmarcznych po wsiach i miastach pod żadnym pozorem nie mają prawa pobierania na swą korzyść opłat jakichkolwiek od włościan-rolników, przybywających na targi w celu sprzedaży własnych produktów gospodarskich lub koni i bydła.

Katastrofy. Na kolei Dąbrowskiej, między Chęcinami a Miąsową, wykoleił się i rozbił pociąg osobowy — 35 osób zostało mniej lub więcej pokaleczonych, jedna zabita.

— Olbrzymi pożar w Baltimore, trwający całą dobę, zniszczył 2,500 domów. Katastrofa dotknęła przeważnie dzielnicę handlową; spaliły się teatry, banki, towarzystwa ubezpieczeń, składy zboża itp. W celu zapobieżenia szerzeniu się ognia zburzono dynamitem dzielnice Howard i Laigt. Szkody obliczają na 200 milionów dolarów. Ofiar w ludziach niewiele.

Zmarli. Antoni Labriola, socyolog, profesor uni-[illegible]

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Февраля 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.